

# Szkoła

*Nauczonym.  
Ku przestrodze.*

## Teraz

Puño dryfuje wolno po mieliznach pólśnu. Otwierają się przed nim wrota przeszłości. Sterowany przez bezsenną maszynę dozownik wsącza mu w krwioobieg tajemne ciecze. Puño leży na noszach, wielokrotnie opleciony różnokolorową pajęczyną elastycznych pasów, kabli, nagich czujników, sztucznych żył, w których pulsuje sercotaktnym przepływem krew, co tak naprawdę wcale krwią nie jest. Ponad ciałem rozmawiają ze sobą maszyny. Śpij, Puño, śpijśpijśpijśpijśpij... Mężczyzna siedzący w nogach noszy, przy drzwiach ambulansu, nie zwraca uwagi na ich dialog. Czyta książkę. Broń w kaburze pod jego lewą pachą czasami ukazuje się na moment, gdy mężczyzna mimowolnie rozchyliły marynarki – Puño zobaczyłby ją, gdyby uniósł głowę, gdyby uniósł powieki, gdyby miał oczy; żaden z tych warunków nie jest jednak możliwy do spełnienia. Strażnik chwilami przerywa lekturę i zagapia się ślepo w zapasowe butle tlenowe przymocowane do przeciwległej ścianki: otrzymuje przez ukryty w małżowinie usznej odbiornik informacji od pozostałych ochroniarzy; chwilami sam coś powie w przestrzeń: słowo bez związku. Kobieta siedząca za głową Puño, plecami do szoferki, zawzięcie ignoruje strażnika; stara się wpatrzeć w wizualny dialog maszyn. Kobieta jest w białym kitlu lekarskim, ale pod nim ma skórzaną kamizelkę i dżinsy. Jej młodość zaprzecza samej sobie. Puño nic nie wie o żadnej z tych rzeczy. Docierają doń może tylko nieregularne drgania i wstrząsy pędzącego po autostradzie samochodu. Choć i one nie zawsze: oto połyka go brama, studnia, jama, paszcza przeszłości. Tętnią rytmicznie żyły. Przyływ. We wczoraj. Śpijśpijśpij. Nie ma cię teraz, nie ma cię tutaj. Nie obudzi cię nawet odgłos gromu słyszalny i przez wyciszone ścianki ambulansu. Na zewnątrz szaleje burza – deszcz, pioruny, wiatr; pędzicie przez ciemność w kolumnie anonimowych samochodów; noc za wami, noc przed wami. A ty, Puño, ty – żyjesz w dniach minionych; w chwilach, co na wskroś myśli przemknęły, w dźwiękach, co przebrzmiały zanim je usłyszałeś, w doznaniach, których ani wtedy rozumiałeś, ani teraz rozumiesz. Tam bezpiecznie. Tam nic cię nie zrani; wszystko dokonane, a więc niezmiennie, zamrożone na wieczność. Oto i Juan, już zupełnie niegroźny; tylekroć cię pobił i pociął tym swoim nożem, upokorzył przed wszystkimi, i to pamiętasz – lecz już ani razu więcej tego nie uczyni, w przeszłości cię nie dosięgnie. Tu znasz każde miejsce, każdy czas. To twoje dominium. Terytorium.

## Smak śmierci

– To nasze terytorium – rzekł owego dnia Juan. Tamci zagwizdali szyderczo. Rozpoczął się rytuał. Przejście podziemne, którym nikt donikąd nie przechodzi, kryjówka miejskich złodziei – tu panuje chłód nawet w letnie południe, tu panuje cisza nawet w północ karnawału, nie znajdzie cię pośród płataniny zgruchotanych płyt betonowych, nadziejących hartowaną stałą, żaden policjant, żaden dorosły nie przecisnie się kolczastym tunelem w poduliczny półmrok ruiny tunelu; tu możesz bezpiecznie zbadać i podzielić łup. To nasze, nasze terytorium, od posiadania tej meliny zależy przetrwanie gangu, stąd dwie przecznice do metra, trzy do przykatedralnego placu żebraków, niedaleko także do dzielnicy pedofilskich

pensjonatów. Ze slumsów bowiem nie sposób bezpośrednio operować, to ogromne odległości; nawet gdy smog się podniesie, nie dojrzysz z centrum miasta ani bezkresnych pól ich tekturowych, blaszanych i glinianych bud, ani lesistych stoków doliny, gdzie na wietrznych wysokościach mieszkają ponad wami prawdziwi bogacze, książęta drewna, kawy, koki i nielegalnych loterii. Więc przejście musi być wasze. Gwarantuje bezpieczeństwo także przed Szwadronami. Bez przejścia umrzecie z głodu, wy i wasze siostry, bracia i matki, bo żebracy już zagrozili wam śmiercią, a alfonsi z niższych ulic zawarli umowę z policją i zamknął się rynek na jedyne usługi, w jakich mogliście być konkurencyjni, pozostała zatem tylko kradzież, rozbój, włamania i uliczne napaści. Będziecie walczyć. Rytuał trwa.

Ty, Puño, ty stoisz trzy kroki za Juanem; żelazny pręt w twojej dłoni, żyłeczka pod językiem. Oczywiście, że się boisz, bałeś się zawsze i wszystkiego, strach masz we krwi jak ten narkotyk, przesączony przez pępowinę z organizmu matki, odziedziczony po niej w kolejnej skarłalej generacji; on, strach, zawsze był po twojej stronie. A że się boisz – krzyczysz, gwizdziesz i prowokujesz Węża jeszcze głośniejszy od innych. I strach ten sprawia, że kiedy w końcu Juan ze szczękiem otwiera nóż i postępuje krok ku przywódcy Węży, dając tym samym znak do ataku – ty skaczesz pierwszy i pierwszy ścierasz się z przeciwnikiem. Metys, jak ty; niski i chudy, jak ty; boi się, jak ty. Ślina na wyszczerzonych zębach. Uderzasz go prętem w brzuch, ale jednocześnie sam dostajesz rowerowym łańcuchem powyżej prawego kolana. Ugina się pod tobą noga, na szczęście on tylko krzyczy dziko z bólu, łańcuch wypada mu z ręki – nie wykorzystuje przewagi. Zresztą krzyczą wszyscy wokoło, hałas panuje taki, że nie słyszysz nawet swego chrapliwego oddechu. Kurz wapienny podnosi się na półtora metra, rozmazuje się tunel w tumanach miążkiego pyłu. Już tylko wy dwaj. Tamten otwiera brzytwę. Rzuci się na ciebie. Odbijasz prętem rękę z ostrzem, padasz z przeciwnikiem na beton. Zgubił brzytwę. Leży pod tobą. Wali wściekle kolanami, ale jakoś nie może cię trafić w krocze. Łapiasz go mocno oburącz za włosy i zbliżasz jego twarz do własnej; pluje, klnie, próbuje gryźć. Trzymasz. Wypychasz wargi, jeszcze się pochylasz i potrząsasz energicznie głową; raz, drugi, trzeci; i niżej. Już nie wrzeszczy. Rozchlastane oczy, pocięte gardło. Ciepłe źródło bije ci rytmicznie na ubrudzony *T-shirt*. Z powrotem chowasz lepką żyłeczkę pod język. Śmierć smakuje starym żelazem, wapnem, solą i rozgrzanym plastikiem. Nie wiedziałeś o tym – nigdy się nie dowiesz – że w dniu bitwy w tunelu skończyłeś dziewiąty rok swego życia.

## Musisz się jakoś nazywać

– Ile masz lat?

– Gówno.

– Weź mi, kurwa, nie podskakuj, szczeniaku, bo jak się wnerwię, to będzie cię słychać na sąsiednim posterunku! Ile masz lat?

– Sto.

– Ty, mały, będziesz mi tu pogrywać...

Wszedł wysoki brodac w cywilu. Podał tłustej jakieś papiery. Coś pomruczała, wskazała cię kciukiem, zakłęła, uśmiechnęła się sardonicznie, zapaliła beznikotynowego papierosa i wyszła z pokoju. Brodac usiadł na jej miejscu. Potarł długimi palcami nasadę nosa, spojrzał na ciebie bezwyrazowo.

– Głodny?

– ...

– Pepsi może? – postawił puszkę na stole. – Weź.

Nie wzięłeś, choć nie piłeś nic od dwóch dni.

– Słuchaj, mały – zamruczał. – Kłopot z tobą mamy; jak zresztą z wami wszystkimi. Zabiłeś tego mężczyznę, zabiłeś tę kobietę. Może istotnie w samoobronie. Ale ty nic nie chcesz powiedzieć. Co gorsza,

nie wiemy nawet kim jesteś – rozumiesz? – nie wiemy jak cię zapisać; jak się nazywasz? jak masz na imię? Chcesz, żebyśmy cię wołali numerem? Jak te zwłoki niezidentyfikowane, które znajdujemy na przedmieściach, zwłoki takich jak ty dzieci nielegalnych imigrantów, tylko ciąg cyfr – ale ty żyjesz. Chcesz wrócić do mamy? Chcesz wrócić do domu? Powiedz tylko jak się nazywasz, zaraz sprowadzimy twoich rodziców.

W końcu się zorientował, że nie zwracasz uwagi na jego słowa, że interesuje cię tylko ta puszka pepsi, od której nie jesteś w stanie oderwać wzroku. Podsunął ci ją jeszcze bliżej.

– No, napij się, dalej.

Tylko skuliłeś się mocniej.

Mężczyzna westchnął, wyprostował się, przeciągnął, ziewnął.

– Co ja z wami mam... Boże drogi – mówił do sufitu. – Wczoraj przesłuchiwałem trzech portorykańskich szczeniaków, siedem, osiem i dziesięć, co zgwałcili i zakopali na śmierć zakonnice, żaden nie umie pisać, żaden nie zna ojca, żaden nie pojmuje o co ten szum... Synu, przecież wiem, że rozumiesz po angielsku; ale jak chcesz mogę przejść na hiszpański. Przeprowadzę ci nawet faceta, który szwargocze po portugalsku...

Brodacz przerwał, bo właśnie rzuciłeś się na stół, złapałeś puszkę i zacząłeś ją opróżniać szybkimi łykami; płyn pienił ci się na brodzie, skapywał na podkoszulek z Batmanem. Zaraz się zakrztusiłeś, pusta puszka wypadła ci z rąk na podłogę.

– No. Dobrze było? Chcesz jeszcze? Chcesz? Zaraz ci przyniosę. Powiedz tylko jak masz na imię. Tylko tyle. Jak mam cię wołać. No. Przecież musisz się jakoś nazywać. Jesteś głodny? Frytki? Hamburgera? Odezwijże-się! Cholera, mam cię oddać świrowi, o to ci chodzi? No i co tak wytrzeszczasz gały?

Mężczyzna poklepał się po kieszeniach, znalazł gumę do żucia, jedno źdźbło sam wetknął sobie do ust, drugie podał tobie, ale nie wziąłeś.

– Mhm, mam już dość. Za tę forszę, co mi płacą, nie stać mnie nawet na leczenie tych wszystkich nerwic, których się tutaj nabawiłem. Przychodzę do domu i patrzę na własnego syna jak na przestępcę. Szlag by to. Claire też ma dość. Wczoraj mi mówi: wystrzębiasz się, człowieku, jak stary dywan, jeszcze trochę, a szmata z ciebie zostanie. Wystrzępiał się, kapujesz, mały? Szmata, ot co. A potem idę do pracy i wyciskam z trzech przedszkolaków szczegóły gwałtu. Chryste, ja powinienem mieć sto patyków dodatku za szkodliwe warunki pracy! Masz pojęcie? – byle skurwysyn z koką na rogu wyciąga dziennie więcej, jak ja na miesiąc. A stary na mnie wrzeszczy: jak cię jeszcze raz złapię na posterunku z nikotyną w łapie, to wylecisz w dwa kwadransy! To ja, cholera, wejdę mu jutro do gabinetu z zapalonym papierosem w gębie i niech mnie wywala. Błogosławiony, kurwa, to będzie dzień...

– Puño.

– Cco? Coś ty powiedział?

– Puño. Wołają mnie Puño.

## Teraz

Puño śpi w przeszłości. Tam jeszcze widzi. Tam jeszcze jest człowiekiem. Ślepy całkowicie byłby jedynie wówczas, gdyby pozbawili go również wspomnień obrazów, lecz oni nie potrafią przeprowadzić selektywnej amnezji z równie wielką precyzją. W przeszłości więc widzi. Jest dwóch Puño, a każdy temu drugiemu obcy. Kto zrozumie własne myśli sprzed godziny? Kto wytłumaczy się z dnia minionego? Kto usprawiedliwi swe życie? Życie Puño, tak bezkształtnie rozpełzłe w jego pamięci na wszystkie strony czasu i przestrzeni – on przecież nie zna nie tylko godziny i dnia, ale nawet miesiąca swych narodzin. Ojca, rzecz jasna, również; ale także matki. Ta zaćpana dwunastolatka, która wydała go na świat ze

swego łona, zginęła wkrótce potem, topiąc się w ulicznej kałuży, paralizująco naszprycowana domowej roboty zacierem. Nigdy jej nie widział. Nie zna jej twarzy. Nie istnieją jej fotografie. Ludzie z Miasta, z którymi rozmawiał, ciepło ją wspominali. Dobra dupa była. Wołali ją 'Łysa', bo jedna oficjalna kurwa chlusnęła ją kiedyś po głowie kwasem, widząc, że mała podbiera jej klientów. Po prawdzie Puño niezbyt się interesował swym pochodzeniem. W okolicy, w której żył, terażniejszość jest bardzo silna. Teraźniejszość, czas niedokonany, nie zamknięty. Przetacza się po równinie burza, pędzi konwój po autostradzie, trzeszczą krótkofalówki kierowców, błyskają wśród piorunów światła ambulansów i radiowozów. Na czarnym niebie piętczą się sinofioletowe wyklębia chmur, niczym tło starotestamentowych hekatomb. Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt mil na godzinę na liczniku. Strażnik przewraca kolejną kartkę swej książki; kobieta w lekarskim fartuchu w stosownej chwili zerka z ukosa: to 'Krytyka czystego rozumu' Kanta. Puño kiwa się lekko na swym wąskim łożu w rytm zakolebań rozpędzonego wozu. Porusza się więc również pajęczy splot aparatury nad nim i kobieta co chwila sięga ręką i poprawia czujnik, żyłę, opaskę. Ma krótko przycięte, ciemne włosy, ciemne oczy, ciemną cerę urodzonej pod zwrotnikiem, twarz bez zmarszczek – szpeci ją tylko ów mimowolny grymas, wygięcie ust, jak znamię pogardy dla siebie samej. Połyskuje zimno wpięta w fartuch plastikowa plakietka. Felicita Alonso. Nie tak mówił na nią Puño.

## Dziwka

– Felicita Alonso – ale wszyscy nazywają mnie Dziwką, więc nie krępuj się.

Była rzeka, i most nad nią, mur, brama, strażnicy. Mur wznosił się bardzo wysoko, metry i metry, a jeszcze ponad jego ostrą krawędzią szczyrzyły się zimnoblystnie drapieżne konstrukcje. Jednoślępne węże kamer kołysały się i gięły sennie, podwieszzone podeń.

Urzednicy, którym przekazała cię policja, teraz przekazali cię z kolei mostowym strażnikom. Oni pobrali ci odciski palców, zajrzeli wgląd oczu dziwnymi urządzeniami, odcięli kawałek naskórka przy paznokciu. Potem wepchnęli cię do środka przez małą furtkę w wielkiej bramie. Furtka zatrasnęła się za tobą. Na tę jedną chwilę byłeś znowu sam.

Park jakiś, stary i zapuszczony, drzewa dziko wychylone nad alejkami, na alejkach grube dywany opadłych liści, szepczą i trzeszczą przy każdym kroku, wiatr szeleści nimi nieustannie – nawet niebo stąd widziane zdaje się posiadać barwę krematoryjnego popiołu.

– Puño.

Stała pod dębem, z rękoma ciasno założonymi na piersi, jakby w obronie przed przenikającym ją chłodem; dziwnie niska, dziwnie szczupła – nawet dla ciebie. Paliła papierosa, nerwowa i w tym drobnym ruchu dłoni do ust.

Podszedłeś do niej, bo nie mogłeś nie podejść. Wtedy wygłosiła swoją kwestię.

– Felicita Alonso – ale wszyscy nazywają mnie Dziwką, więc nie krępuj się.

Pomyślałeś, że – tak jak ci gliniarze, urzednicy i doktorzy – ona się ciebie boi, pogardza tobą i jednocześnie wstydzi się za ciebie. Pomyślałeś: głupia, głupia Dziwka.

A ona wiedziała doskonale co ci się w głowie obraca, nie musiała nawet patrzeć ci w oczy.

– No, mały. Idziemy. Uważaj, bo sobie wargę odgryziesz.

– Chuj ci w dupę, cipo łysa.

– Może potem. Chodź, chodź.

Absurdalnie zabrzmiałyby zarzekania, że nigdzie nie pójdziesz, a i sterceć tu w nieskończoność nie miałeś bynajmniej ochoty – podreptałeś więc za nią, z rękoma kościstymi piąstkami wbitymi w płytkie kieszenie nazbyt dużej kurtki. Złośliwie rozkopywałeś naokoło suche i mokre liście. Dziwka co jakiś czas

ogłądała się na ciebie, lecz jej spojrzenie znad krótkiego papierosa było dziwnie puste: nie o tobie myślała. To też był powód do słusznego gniewu.

Park okazał się olbrzymi. Ten mur, jeśli faktycznie ogradza całą posiadłość – pomyślałeś – musi ciągnąć się milami i milami. Dziwka doskonale знаła drogę, szła szybko, nie zatrzymywała się. Po jakimś czasie dojrzałeś ponad gałęziami łysiejących drzew zarys dachu odległego budynku.

Ostatnie skrzyżowanie alejek, ostatni zakręt – i wyszliście na prostą przed podjazdem domu. To było wielkie, stare dworzyszcze, jedno z tych przytłaczających swą szarą, ponurą monumentalnością nawet wieloletnich mieszkańców. W mniej słoneczne dni popaść można w depresję na sam jego widok. W czasie burz z gromami i błyskawicami doktor Frankenstein ożywia za tymi murami trupiotwarze monstra. Gdy dmie wichur, zwyrodniali lordowie dokonują tu krwawych mordów. Kamienne gargulce wykrzywiają ohydne pyski i wybałuszają ślepia, wyczekując odpowiedniego momentu, by spaść na głowę samotnemu spacerowiczowi. Tymi alejkami, pozornie zaniedbanym ogrodem, zdziczałym parkiem, po cmentarnym kobiercu gnijących liści – nie należy spacerować w samotności. Cisza owej wiecznie jesiennej posiadłości i tak czyni cię samotnym pośród zimnych myśli.

Wyuczony świata na wideotece Miłego Jake'a, nie mogłeś mieć innych skojarzeń. Zakłąłeś, splunąłeś, kopnąłeś liście: ledwo się poderwały, zlepione, ciężkie brudną wilgocią – zaraz opadły; zatruta płwocina parku.

Po szerokich schodach weszliście na taras, ciągnący się wzdłuż całej długości frontu budynku, wyłożony kwadratowymi płytami z białego marmuru. Uniosłeś głowę, spojrzawszy w górę: szara ściana nad tobą, szare niebo. Za mleczną szybą na drugim piętrze – za kratami – rozmazana twarz dziecka.

– Szkoła.

– Tak, Puño. Szkoła.

Bocznymi drzwiami wyszedł na taras starszy mężczyzna w kitlu chirurga obficie poplamionym ciemną krwią. Odetchnął głęboko kilka razy; zauważył was, zamrugał, zaraz cofnął się do wnętrza.

Dziwka odrzuciła peta i postąpiła ku głównemu wejściu, wielkim szklanym drzwiom. Skinęła na ciebie; teraz, być może po raz pierwszy od bramy, patrzyła widząc. I uśmiechała się lekko, w owej chwili niemal piękna.

– Chodź.

## Zakup

– Chodź.

Zaraz cię powieszają, Puño, zawieszysz na latarni, umrzesz, Puño; taka jest prawda. Tu i teraz kończy się twoje życie.

Ale jeszcze nie wierzyłeś tym szeptom; i słusznie. Choć już stałeś na dachu samochodu, już czułeś szorstki sznur na szyi. Łysy naciągał go coraz mocniej. Przekreśliło ci głowę w lewo. Nadchodzili ku wam z tej strony dwaj mężczyźni.

– Co znowu, Zazo? – spytał blondyn z beretką. To on wydawał tu rozkazy.

Zazo, niższy z nadchodzących, pokazał szybkim gestem: interes. Wyższy, w okularach i płaszczu, otwarcie taksował ciebie i dwóch czekających na swoją kolej na tylnym siedzeniu samochodu.

Blondyn przełożył beretkę do lewej i podał Zazo rękę. Przywitali się w milczeniu.

– Chcę ich wykupić – oświadczył gość w płaszczu.

Od nagłego przypływu nadziei zebrało ci się na wymioty, zgiałbyś się w pół, gdybyś mógł; szarpnąłeś konwulsyjnie spętanymi na plecach rękami, nylonowa linka werżnęła ci się głębiej w ciało: linka była zamiast kajdanek, które okazały się za duże na wasze nadgarstki.

Zza kierownicy wysunął się chromy brodac, od częstego wążania śniegu chronicznie zakatarzony; wstał, pociągnął nosem, zakulał. – Co jest?

– Mam go wiesztać? – zwrócił się do blondyna zdeorientowany łysy.

– Chwilę – machnął pistoletem blondyn i skinął na okularnika. – Pan jest z opieki społecznej czy co?

– Co za znaczenie? – mruknął okularnik wyjmując z przepastnej kieszeni płaszcza plik banknotów o wielozerowych nominałach. – Pan policjant, a prawa w tej chwili raczej nie strzeże. Dziesięć za każdego; tego z blizną nie weźmiemy, za stary.

Blondyn odwrócił głowę, zamrugnął w noc. Tak jak stali, obejmowali spojrzeniem ulicę do trzech przecznicy w obie strony, a ty, z wysokości swego szafotu, warkoczącego miękko na jałowym biegu, jeszcze dalej; jedynie wiatr bawił się na niej puszkami po piwie. To ostatnie rubieże miasta, pobojowisko w wojnie z ekonomią, budynki wielopiętrowe w trakcie przybierania ochronnych barw ruin. Tylko cieni tu mnóstwo; tylko szczury słychać. I czasami poszum oddechu miasta właściwego, którego ponadchmurne menhiry dojrzysz i stąd, jak kontrolnymi układami świateł w oknach apartamentów znaczą zimny mrok nieba – a noc jest prawdziwie południowoamerykańsko duszna i wilgotna.

– My tu nie handel prowadzimy – wycedził policjant po służbie. – Nie jesteśmy jakimiś kidnaperami. My oczyszczamy miasto. To jest służba społeczeństwu.

– Taa, jasne, nie musi mi pan mówić kim jesteście. Ja chcę ich tylko wykupić. Potraktujcie to jako datek od sponsora.

– Zazo, co to za pajac?

Zazo wzruszył ramionami, strzyknął śliną na popękany asfalt.

– Jeździ po mieście i zbiera bachory, jeszcze jeden pośrednik; od chirurgów, od alfonsów czy kogo tam... Ma forszę. No to jak, miałem go puścić samopas?

Blondyn schował berettę do kieszeni płaszcza niemal bliźniaczego temu okularnikowemu; nie zapinał go, pod spodem miał jedynie siatkowy podkoszulek, podczas gdy okularnik nosił się niczym jakiś ciemny adwokacina.

– A na co ci oni? – zwrócił się pierwszy do drugiego.

– A na przekąskę. Co za znaczenie?

– Też prawda. Dwadzieścia.

– Dwanaście.

– Dwadzieścia.

– Do widzenia.

– Zazo?

– O, pierwsi to wy nie jesteście, przy mnie zebrał z tuzin; tam stanął furgonetką.

– Dobra, wracaj, dwanaście. Hej, zdejmuj go! Załóż tego z blizną.

Pieniądze – palce – kieszeń.

– Jak on się nazywa? – spytał kupiec wskazując cię palcem ze złotym pierścieniem.

– Jak on się nazywa?! – zawołał blondyn do chromego.

– Puño.

– A ten drugi?

– A ten drugi?!

– Te, jak cię wołają? – warknął kulawy tarmosząc Juana; Juan, z uwagi na związane na plecach ręce oraz, widoczne świetnie także w półmroku, rany i siniaki, nie mógł się jakoś wygramolić z samochodu. – Jak? Głośniej! Mówi, że Juan. O kurrwa...!!

Juan rzucił się na kulawego, powalił go i teraz, klęcząc na jego piersi, wgryzał mu się w twarz. Kulawy miotał się po asfalcie, w straszliwym bólu niezdolny do podjęcia obrony. Juan gryzł; krztusił się krwią, ale gryzł.

Spanikowany blondyn sięgnął do kieszeni, trafił na pieniądze, wygarnął je z furią na ziemię, wyszarpnął beretkę i przestrzelił Juanowi głowę.

– Szlag by to... – mamrotał zbierając banknoty.

Zazo i łysy usiłowali w pośpiechu zatamować krwotok kulawego; kulawy nie miał już nosa, a nie był to jedyny ubytek w jego fizjonomii, skądinąd i przedtem nie zniewalającej.

Nie zdążyłeś przyjrzeć się mu lepiej: skorzystawszy z zamieszania, zsunąłeś się z dachu wozu i teraz uciekałeś ku skrzyżowaniu. Gdyby nie ból rozdartej skóry odbytu i rwanych przy każdym kroku skrzepów krwi – nigdy nie dałbyś się złapać okularnikowi. A tak dogonił cię i w krótkiej szamotaninie przewrócił na asfalt, jeszcze zanim pokonałeś połowę dystansu. Po czym zostałeś zawleczony z powrotem pod latarnię.

– Forsa za Juana – zażądał kupiec od blondyna. – Sam ześ mu czachę rozpieprzył.

– Spierdalaj.

– Za trupa mam płacić?

Blondyn przystawił lufę beretty do lewego szkła okularów tamtego.

– Spierdalaj.

Twój właściciel tylko spojrzął na kulawego, który, przytrzymywany przez Zazo i łysego – a zataczał się i dosłownie leciał im przez ręce – wymiotował przy kole samochodu w kałużę własnej krwi.

– Idziemy, Puño.

## Sprzedaj

– Idziemy, Puño.

Stary Jacco potrząsnął tobą za ramię. Ten osiemdziesięcioletni Indianin rzadko kiedy wymawiał naraz więcej, jak trzy, cztery słowa.

Cienisty chłód parteru zrujnowanego puebla, stanowiącego dom i zarazem miejsce pracy Jacco, zniechęcał do wyjścia w otumaniający upał, pod mordercze promienie zenitalnego Słońca. Spać, spać; tutaj, w stercie postrzępionych koców i wyblakłych *poncho*, wciśniętej w cuchnący suszonym nawozem kąt obszernego pomieszczenia, odespałeś każdą nocną godzinę spędzoną w ojczystym mieście na łupieżczych eskapadach i męczącym czuwaniu w trakcie łowów. Ile to już czasu? – minął tydzień takiej sennej, zwierzęcej wegetacji w sercu meksykańskiej pustyni, w milczącej gościnie antypatycznego Jacco. Nocami, od zapachu narkotykowego zacieru wypełniającego wielkie kadzie ciemniejące pod przeciwległą ścianą, nachodziły cię niepokojące, chore wizje. Chłodnymi wieczorami zaś, zachodami Słońca, które nad meksykańską pustynią są bardzo piękne, siadywałeś przed wapnem pobielaną ścianą puebla na ustawionej na dwóch kamieniach desce – i płakałeś. Nikt nie patrzył, byłeś sam, Jacco gdzieś pijany bądź upijający się, wokoło dziesiątki mil wietrznego pustkowia, piasku koloru ochry, o zachodzie prawie karmazynowego – tam i wtedy mogłeś płakać w poczuciu pełnego bezpieczeństwa. Panował taki spokój – taki wielki, śmiertelny, metafizyczny spokój – że byłeś wówczas w stanie wyobrazić sobie i uwierzyć nawet w to piekło i niebo, o których opowiadały wam sinym świtem stare prostytutki z Placu Generała.

Człowiek w okularach, który cię odkupił od Szwadronów Śmierci, oraz jego nieodmiennie anonimowi wspólnicy, przeszmuflowawszy cię przez szereg granic państw, o których nigdy wcześniej nie słyszałeś (bo nie słyszałeś o żadnych państwach za wyjątkiem swej ojczyzny, no i Złotej Ameryki, Stanów Zjednoczonych, Hollywood tego zakątka uniwersum) – ludzie ci w końcu pozostawili cię tu na łasce milczącego Jacco, niczego nie tłumacząc, niczego ci nie nakazując ani nie zakazując – co samo w sobie mogło się zdawać postępowaniem nielogicznym, lecz ty nie byłeś jeszcze nauczony wiary we wszechobecność logiki i przyjąłeś rzecz bez zdziwienia: pozostawałeś dzieckiem chaosu. Działo się, co się

działo; świat płynął i niósł cię swobodnie w swoim nurcie. Ci, co wierzą – toną. Ani tej filozofii nie artykułowałeś tymi słowami, ani o niej nie myślałeś, ani nawet nie zdawałeś sobie sprawy z charakteru własnej natury w odróżnieniu od natur innych ludzi. Tam, w slumsach, w Mieście Dzieci, w smrodzie, głodzie i upale – nie tak się myśli. Po prawdzie, tam nie myśli się prawie w ogóle.

– Idziemy.

Wstałeś, ponieważ on chciał, żebyś wstał. I wyszedłeś na zewnątrz, ponieważ nie było powodu, żeby nie wyjść. Tak, właśnie tak się żyje tam, skąd pochodzisz.

Słońce uderzyło cię w skroń ognistym obuchem. Zachwiałeś się. Oślepiony, oślepiony.

– Czeka na ciebie – rzekł Jacco pchnąwszy cię w plecy. – Dalej. – Jego portugalski był cokolwiek anachroniczny i chropawy, ale całkowicie zrozumiały.

Mężczyzna siedział na masce nowoczesnego czarnego samochodu i palił papierosa. To był Miły Jake, ale wtedy jeszcze nie znałeś jego imienia, więc, gdy tylko wrócił ci wzrok, pomyślałeś sobie: pierdolony peda! – mężczyzna miał bowiem kilkanaście stalowych kolczyków wklutych pod skórę gładko ogolonej twarzy, uszu i szyi, a ubrany był w letni garnitur włożony na gołe, bezwłose ciało. Uśmiechał się szeroko do ciebie.

Zaczął w, wówczas niezrozumiałym dla ciebie, angielskim: – Nie uśmiechniesz się do mnie? Lubię szczęśliwe dzieci. – Po każdym zdaniu następowała dłuższa chwila kontrolnego milczenia. – Cóż, mój chłopcze...? Bądź miły dla Miłego Jake'a. Papierosa...? No, dalej, ja nie gryzę. Mmm... pokochasz mnie, zobaczysz... – zeskoczył z maski, odrzucił niedopałek i przestał się uśmiechać. – Słodki Jezu, on jest do niczego. Co za ponury skurwiel! Na miłość boską, jeden pieprzony uśmiech...! – chciał cię uderzyć otwartą dłonią w twarz, ale się uchylił. – Cholera! Właż do środka! Teraz jesteś mój i będziesz robił co ci powiem! Do środka! Co, nie nauczyli cię? Już ja cię nauczę! – poszukał nowego papierosa i zapalił go; znowu zaczął się do ciebie uśmiechać; wystraszony, odbiegł w międzyczasie kilkanaście metrów od samochodu i teraz za plecami miał jedynie jasny przestwór rozpalonej mirażami pustyni. – Ze mnie naprawdę miły facet, Puño, bardzo miły, przekonasz się. No. Dalej. Wszystko będzie dobrze.

## Teraz

Puño śpi, ale jednocześnie jest przytomny. Śpi, bo skazili mu krew; a zachowuje przytomność, bo jeszcze wcześniej skazili mu umysł, wdarli się do wnętrza jego głowy odbierając mu zdolność zapadnięcia w ów – jakże ludzki – stan bezświadomości. To zakazane. Więc i ta narkoza nie wyłączyła go tak do końca. Wprawdzie większość bodźców doń nie dociera, a myślami dryfuje Puño w przeszłości – lecz właściwsze byłoby tu stwierdzenie, iż w rzeczywistości marzy on na jawie. A w tym był zawsze dobry. Marzenia produkował bardzo wysokiej jakości, ludzie podziwiali jego barokowe kłamstwa i dziecięco alogicznie rozbuchane konfabulacje. Potem naoglądał się wideo Miłego Jake'a i marzenia mu zdziczały, lecz wciąż mógł w nie uciec. Teraz jednak pozbawiony został owej umiejętności tworzenia prywatnych alternatywnych przyszłości, ostała mu się jeno przeszłość. Woleliby zabrać i ją, ale ci, którym rzeczywiście zabrali, pokrzywili się jakoś dziwnie – więc dali sobie spokój, poszli na kompromis. Felicita powiedziała mu kiedyś, że tak naprawdę czas miniony nie jest ważny i żeby się skoncentrował na teraźniejszości – ale na czym teraz ma się koncentrować? Buszują mu po umyśle spuszczone ze smyczy myśli; a kumulując się, owe mentalne ruchy Browna, powodują przypadkowe spięcia na korze mózgowej: od czasu do czasu drgnie samowolnie głowa Puño, zatrzepoczą mu palce, załamię się oddech, podskoczy nibyskurczem pochwycona stopa. Felicita przypatruje się temu ze swego miejsca przy szoferce. Ochroniarz myśli o niej: – Ciekawe czy przygryza wtedy dolną wargę, czy zamyka oczy? – Ona myśli o Puño: – Nigdy nie będę mieć dzieci, wysterylizuję się. – A Puño, Puño jest tylko ciałem, trzęsie

się na noszach jak martwa tusza mięsa. Gdyby jeszcze uniósł powieki. Ale przecież nie może, ma zaszyte. Ochroniarz myśli o Puño: – Biedny dzieciak. – Felicita myśli o ochroniarzu: – Nienawidzę ich. – A Puño jak przedmiot. Dobiegło go, nierozpoznawalnie zmiksowane, echo grzmotu; skojarzył co innego: odległy łoskot karabinu maszynowego.

## Baśń

- Słyszysz?
- To Cillo czyści El Dorado.
- Mówili, że jest na Cillo wyrok.
- Wykupi się, wykupi.

Siedzieliście na szczycie nie do końca wyburzonego muru starej fabryki, na skraju slumsów; był wieczór, zbliżał się wasz czas. Domino częstował cię orzeszkami ziemnymi z ukradzonej ze straganu puszki pełnej tego przysmaku. Domino posiadał prawdziwy nóż sprężynowy, identyczny z Juanowym. Za godzinę mieliście umówiony skok na klienta znajomej męskiej kurwy. Ten klient okaże się człowiekiem Barona i zastrzeli Domino, a tobie wybije kilka zębów i rozetnie policzek – ale na razie Domino żyje, jeszcze wasz czas nie nadszedł: siedzicie i snujecie nocną baśń Miasta.

– On urodził się za ściekiem, tam, gdzie teraz są Maciory. Dokładnie tak samo ojca nie znał, a matkę mu gdzieś zarabali albo też sama kiwnęła od przećpania. Tak samo nocą szmerzał po Dzielnicy. A teraz, teraz patrz kto on jest, czym on jeździ, gdzie mieszka; ile ma spluw na zawołanie, ile dup na jedno słowo. Bo to było tak: podwędził u Platfusa portfele czterem klientom pod rząd, a tam siedział i widział to Srebrny Gorgola. Wychodzi za nim, łapie Cillo i mówi mu: 'Dobry jesteś, mały, bardzo dobry; teraz robić będziesz dla mnie'. I zabiera go do siebie. I Cillo robi dla Srebrnego Gorgoli. I Gorgola widzi, że Cillo jest najlepszy. Mówi mu: 'Masz tu, Cillo, gnata, idź i kropnij tego a tego, bo bruździ mi, matkojebca jeden'. Cillo idzie i gościa już nie ma. Gorgola jest zadowolony i Cillo odtąd już nie będzie się martwić o pieniądze. A potem wpada ten interes i Cillo rozwała Gorgolę i teraz mówią na niego: Złoty Cillo. A urodził się – o, tam, za ściekiem...

Czas. Zeskoczyliście z muru, ruszyliście powoli ku Dzielnicy. Domino bawił się tym nożem, talizmanem, amuletem swoim.

- A wyobraź sobie – rozmarzył się – tylko sobie wyobraź....

## Testy

– Wyobraź sobie, Puño, że wychodzisz na korytarz. Korytarz jest bardzo długi, nie widzisz jego końca, posadzkę ma z gładkich, zimnych stalowych płyt, ściany wyłożone kafelkami; żadnych okien a mnóstwo drzwi; sufit zakrywają jaskrawo świecące lampy, w tym korytarzu jest bardzo jasno. Idziesz. Słyszysz tylko własne kroki. Idziesz i idziesz. Nagle otwierają się jedne z drzwi, kilkanaście metrów przed tobą. – Czarnoskóry doktor przerwał, nie oderwał jednak od ciebie wzroku; Dzwonka, siedząca w kącie na plastikowym krześle, obojętnie przeglądała wydruki z maszyn, które tego ranka zadawały ci ból. – Patrzysz, ale nikt przez nie nie wychodzi. Podchodzisz. Wtedy to zauważasz. Opuszczasz spojrzenie: na dół, na posadzkę. On nie ma nóg ani rąk, nie umie mówić, jest ślepy; i tak od urodzenia. Kadłub. Wypełza przez drzwi i sunie po podłodze ku tobie. Puño? Puño? Całujesz go, Puño, pochylasz się i całujesz.

Od plastrów, którymi poprzyklejali ci do ciała chłodne końcówki różnych urządzeń, rozswędziała cię skóra. Trudno ci się skupić na słowach wysokiego Murzyna, choć jego angielski jest maksymalnie prosty

i nie musisz się wysilać, by zrozumieć co do ciebie mówi. Zresztą nieważne. To są wrogowie, wrogowie.

Doktor westchnął, wstał, spojrział na Dziwkę; podszedł do wysokiego okna wychodzącego na okalający Szkołę dziki jesienny park, postąpił tam chwilę, potem wymaszerował z pokoju, cicho zamykając za sobą plastikowe drzwi.

Dziwka ziewnęła i rzuciła papiery na biurko.

– Zmęczony?

– Odwalcie się ode mnie.

– To tylko tak na początku, Puño; musimy cię poznać.

– Coście mi wtedy dali do picia? Dlaczego niczego nie pamiętam?

– Są takie testy, których przeprowadzania nie powinieneś pamiętać.

– Co to za popieprzona szkoła...

Zaśmiała się.

– To jest bardzo wyjątkowa szkoła i niezwykłych rzeczy tu uczymy. Zobacysz, zobacysz. Pewnego dnia... może jeszcze będziesz sławny.

– Nie chcę być sławny – warknąłeś, zły, że zdołała wciągnąć cię w rozmowę.

Zgasiła uśmiech, zaczęła szukać po kieszeniach papierosów.

– My cię nauczymy, czego masz chcieć.

Zabrałeś się do zrywania z siebie czujników. Dziwka wzruszyła ramionami.

– Może masz rację. Na dzisiaj już dosyć. Odpocznij. Jutro zaliczysz resztę testów apercypcyjnych, wydolnościówki i *lingua questo*. Testy matematyczne to kiedyś przy okazji – zapaliła papierosa. – Ubierz się. Pokażę ci gdzie będziesz mieszkał. Poznasz kolegów. Nie będziesz ich tu miał znowu tak dużo.

– Czego mi nie wolno?

Spojrzała dziwnie. – Tym się nie zajmuj.

Wyszliście do hallu. Schody jak w operze; widziałeś opery na filmach u Miłego Jake'a, więc miałeś porównanie. Tu, na parterze Szkoły, zawsze dużo ludzi, ruch, zamieszanie, szybkie dialogi w przypadkowych spotkaniach. Żadnych dzieci, sami dorośli. Niektórzy w kitlach jak lekarze, niektórzy w mundurach jak policjanci, ale najpewniej ani to jedni, ani drudzy. Nikt się wam nie przyglądał.

– Wypuścicie mnie? Kiedy?

Popchnęła cię ku schodom.

– To nie jest kara. Zostałeś tu zgodnie z prawem przekazany przez Opiekę Społeczną. Jesteśmy instytucją rządową. Taką specjalną szkołą.

– Poprawczak?

– Nie, nie; powiedziałam: to nie jest kara. Nieważne co przeskrobałeś, Puño.

I właśnie dlatego, że nie wierzyłeś w logikę – spytałeś, tknięty jakąś profetyczną myślą:

– Co wy mi zrobicie?

Coś odpowiedzieć musiało.

– Nie martw się, Puño, wszystko będzie dobrze.

## Wideo

Przez cały czas pracy dla Miłego Jake'a żywiłeś się oglądanymi na wideo filmami. Inne dzieci z jego stajni albo ćpały na zabój, albo zapadały w jakiś katatoniczny trans, albo – choć to najrzadziej – podejmowały śmieszne, nieudolne próby samobójstwa. Ty siedziałeś przed wideo. W ostatecznym rozrachunku to wideo uratowało ci życie, lecz przecież oglądałeś je po prostu dla czystej radości

uczestnictwa w efektownych kłamstwach. Tam były mityczne światy wiecznej szczęśliwości, światy ludzi, jakich nie ma, niemożliwych zachowań, niemożliwych słów i myśli. I tam zwyciężało dobro, tam w ogóle to dobro istniało jako realna siła; nauczyłeś się na nowo owego słowa z filmów wideo właśnie, bowiem prostytutki z Placu Generała nie potrafiły go jasno wytłumaczyć. W telewizorze było dobro, w telewizorze było szczęście; nie wierzyłeś w nie po wyłączeniu urządzenia, bo tamte światy w rzeczywistości wszak nie istniały, wiedziałeś o tym – ale lubiłeś przecież bajki. Wideo Miłego Jake'a była ogromna, tysiące kaset, skład prawdziwy; ostatecznie nic dziwnego, przecież siedział w tym interesie. Angielski, jakiego się z tego wideo z czasem nauczyłeś, ten pierwszy, prostacki, niedoszlifowany staraniem nauczycieli ze Szkoły – był angielskim slangowym, amalgamatem narzeczy etnicznych gett, gwar środowiskowych gangsterów, gliniarzy, prawników i żołnierzy. Szybko zatraciłeś akcent: byłeś młody, byłeś dzieckiem. Samotność tak naprawdę ci nie przeszkadzała, nie nauczono cię lubić towarzystwa innych ludzi, więc nie tęskniłeś za nim, bo i za czym towarzystwem miałeś tęsknić? Praca u Miłego Jake'a nie była specjalnie męcząca, zdarzały się bardzo długie przerwy pomiędzy kolejnymi nagraniami; jeśli coś ci dokuczało, to jedynie przymus ciągłego przebywania w czterech ścianach – ten rok spędziłeś w zamkniętych pomieszczeniach, nigdy nie wychodziłeś na zewnątrz, nawet wożony do powciskanych gdzieś w okolicy centrum miasta ciasnych, tymczasowo rozlokowanych w podnajętym mieszkaniu studiów filmowych, nawet wtedy widziałeś świat jedynie przez szybę. Jake i jego kobieta, Holly, bardzo dobrze strzegli swego towaru; w końcu stanowiłeś ich źródło utrzymania. I dbali o ciebie. Co prawda jedzenie było irytująco monotonne – niemal uzależniłeś się od pikantnej meksykańskiej pizzy – lecz nie zdarzało ci się już kłaść spać głodnym. A Miły Jake wcale tak często nie bił, bardzo rzadko zaś na tyle mocno, by pozostały ślady, bo potem reżyser na niego krzyczał i pieklił się charakteryzator; zresztą Jake'owi szybko przechodził gniew. W ogóle błyskawicznie zmieniały mu się nastroje. Kiedyś przyniósł ci w prezencie plastikowe przeciwsłoneczne okulary. A gdybyś chciał, mógłby cię zaopatrywać w co tańsze narkotyki, inne dzieci z jego stajni dostawały swoje porcje codziennie przy jedzeniu. Właściwie porządnie wściekł się tylko wtedy, gdy odkrył, że zacząłeś się uczyć czytać i pisać. Latał po domu wymachując twoimi bazgrołami i wrzeszcząc: – To po to wydaję na tego małego sukinsyna tyle forsy?! Po to?!! – Ale przyszła Holly i przed wieczorem był już spokojny.

Oglądałeś na wideo Jake'a każdy film, jaki miał w swych zbiorach, bo w tym właśnie – nie w rzeczywistym – świecie żyłeś. Lecz w końcu i te zbiory zaczęły się wyczerpywać. Sięgnąłeś zatem po kasety upakowane w tekturowych pudłach spiętrzonych pod ścianami piwnicy. Okazało się, iż na nich nagrana jest produkcja Jake'a i kompanii. Rychło znudziłbyś się tymi karykaturalnymi obrazami spoconych nagich ciał, prężących się, wijących, drżących epileptycznie i wydających śmieszne dźwięki – gdybyś nie odkrył na sporej części owych filmów samego siebie. Nie tak to zapamiętałeś. Na wideo byłeś inny. Na wideo wszyscy ci mężczyźni i kobiety byli inni. Nawet wyglądało na to, że im i tobie sprawiała ta seksualna gimnastyka jakąś przyjemność, choć wszak doskonale wiedziałeś, że tak nie było. Głos wydawany przez twoje ciało z ekranu telewizora nie był twoim głosem. Podłożyli go. Słuchałeś i parodiowałeś samego siebie. Ale i mimo owego humorystycznego akcentu w końcu dotknęła cię nuda: te filmy po prostu nie posiadały żadnej fabuły. Przeglądałeś jeszcze parę, sięgnąłeś do innego pudła; to samo. Do jeszcze innego; takż. I do czwartego; i niby też nic nowego, lecz przewijając taśmę dostrzegłeś przy końcu jakąś szamotaninę, rozłopotane w zmiksowanych nienaturalnym tempem przesuwu kadrach – plamy gorącej czerwieni. Wróciłeś do zwykłej prędkości. Tego chłopca, użytkowego bohatera owego filmu – mordowali właśnie niedawni jego kochankowie. Cofnąłeś, zobaczyłeś jego twarz: on mieszkał tu z wami przez parę miesięcy, był u Miłego Jake'a jeszcze zanim ten przywiózł cię z pustyni od Jacco. Parę tygodni temu zniknął, ale przypuszczałeś, że się zaćpał, bo to był szprycer pełną gębą. Wołali go Guyjo, pochodził z Bangkoku; kiedyś pobiliś się z nim o paczkę gum do żucia. Kiepsko mówił po angielsku – na filmie falsetem swe rozpaczliwe, historyczne błagania wyrzaskiwał z bezbłędym akcentem z Nowej

Anglii, podczas gdy śniadoskóra dziewczyna sunęła skrwawioną brzytwą przez jego podbrzusze.

## Teraz

Bo świat jest okrutny i nawet słodkim, rodzinnym filmom z Jake'owego wideo nie udało się tej oczywistej dla Puño prawdy zafałszować. Jest to okrucieństwo dzikiego drapieżcy z głębi puszczy, który pojawia się na ekranie na krótki moment, by w morderczym szale wymordować pół ekspedycji a potem równie niespodziewanie zniknąć w gęstwinie: ludzie będą krzyczeć, płakać i przeklinać zwierzę, jakby nie zdając sobie sprawy, że to właśnie tylko zwierzę. Zło uosabia w nim swym kunsztem reżyser. Okrutnym można być wszak jedynie w obliczu człowieka, któż inny bowiem nazwałby okrucieństwo? Puño zaś nie respektował żadnych praw poza prawami dżungli i nawet teraz, uwięziony w karczerze swego ciała, w pędzącym przez noc, przez gasnącą burzę, rozkołysanym ambulansie, nawet teraz, półprzytomny w uspokajającym rozciągnięciu pomiędzy wczoraj a dzisiaj – nie nazwie tych ludzi okrutnymi. Felicita Alonso, Dziwka – ona być może jest jego wróg, być może przyjaciel, być może matka, której nigdy nie miał – lecz wszystko to być może, wszystko to chwilami i nie naprawdę. Nienawidzić Puño potrafił doskonale, lecz osądzać po prostu nie umiał. prostytutki z Placu Generała nie opowiadały im o sprawiedliwości, bo wyśmiałyby je. prostytutki z Placu Generała opowiadały im o Bogu, ponieważ Bóg jest wszechmocny, a to coś znaczy. Bóg jest także dobry, ale to znaczy o wiele mniej. Sprawiedliwość zaś nie znaczy nic, słowo to jest puste niczym spojrzenie Puño, i choć z łatwością przekłada je on na pięć innych języków, w każdym z nich brzmi jednakowo śmiesznie. To jest mój nóż, mawiał Juan, a to jest jego nóż, ale jak ja miałbym spluwać, to by dopiero było sprawiedliwie, bo strzeliłbym mu prosto w mordę i byłoby po sprawie. Ha, taką sprawiedliwość Puño rozumiał. A przecież czuł żal, czuł gorzkość, czuł złość i gniew; oczywiście, że czuł. Gdyby zobaczył tego dwumetrowego ochroniarza, siedzącego w nogach noszy i z trudem udającego, iż czyta – gdyby ujrzał ten jakoś symboliczny obraz, być może zdołałby jasno i pojmowalnie dla innych wytłumaczyć swoją postawę: To oni mają spluwy. Ale nie zobaczy. Jadą. Musieli zwolnić, bo na autostradzie była kraksa, osiemnastokółowiec wypełniony wieszakami do rzeźni końmi wpadł w poślizgu po mokrej jezdni na nieprzepisowo zaparkowanego buicka. Pobocze i pole za szosą pokrywają ciała koni o sierści ciemnej i błyszczącej od deszczu, koni martwych oraz jeszcze żywych. Jest blokada, policjanci z drogówki, w przeciwdeszczowych pelerynach, z latarkami i krótkofalówkami w rękach, biegają wszędzie dookoła. Światła stojącej w glinie pobocza karetki błyskają żółto i czerwono; na szczęście ambulanse karawany nie są oznakowane, toteż nikt ich nie zatrzymuje dla wymuszenia pomocy. Burza gaśnie i nie uderzają już pioruny, skończyły się błyskawice i grzmoty; a jednak co chwila huczy na zewnątrz jeden i drugi strzał – to ci ludzie, ci ludzie jak cienie w deszczu, spacerujący w błocie i we krwi i dobijający konające bezskutecznie zwierzęta. Huki Puño słyszy, chociaż nie wie co oznaczają. Domyśla się. W tej chwili cały świat ma w domyśle. Puño zawsze żył pośród tajemnic.

## Tajemnica

Wyglądał niczym płonący anioł. Zobaczyłeś go z okna łazienki, jak biegnie przez park, w stronę wewnętrznego muru i zamkniętej nim zakazanej strefy, a blask bijący od śnieżnobiałych jego skrzydeł tworzy w nocnej gęstwinie wysokich drzew szybko przepływające po tle, głębokie cienie.

To był dopiero twój pierwszy miesiąc w Szkole, nadal miałeś ją za jakiś nowoczesny, postępowy poprawczak. Obudził cię w środku nocy płacz Ricka; skłąłeś go i poszedłeś się odlać. A tam pod oknem łazienki odbywało się polowanie na płonącego anioła.

Ale wnet się zorientowałeś, że to żaden anioł. Był sporo niższy od tych mężczyzn z mundurach, który go ścigali; był dzieckiem. Przycisnąłeś twarz do zakratowanej grubo od zewnątrz, lodowato zimnej szyby. Przecież on nie mógł być również i dzieckiem. Poruszał tymi swoimi skrzydłami, i świecił, i biegł też jakoś nie po dziecięcemu, nie po człowieczemu. Mignął ci raz i drugi błądy owal jego twarzy. To nie była twarz. Coś ścisnęło cię w żołądku. Nie strach, coś subtelniejszego, trudniejszego do opisanie.

A tamten wciąż próbował uciec, chociaż oni już go okrążyli, odcięli od ciemnej gęstwy parku i wewnętrznego muru granicznego. Nagle krzyknął; usłyszałeś ten krzyk przez szczelnie zamknięte okno, przez grube kamienne mury: wysoki, rozpaczliwy, ptasi wrzask, rozedrgany okrutnie na wznoszącej się nucie. Umilkł nagle i niespodziewanie – wtedy tego nie rozumiałeś, pojąłeś dużo później: krzyk ściganego przeszedł był w ultradźwięki i to dlatego rozszczękały się wściekle ogary w pobliskiej psiarni. Może nie był to anioł, ale z pewnością nie był to również człowiek.

Trudno ci było tej nocy powtórnie zasnąć, choć Rick, upity swymi łzami, pogrążył się już w bolesnej drzemce i nie zakłócał ciszy. Płonący anioł. To od tamtej chwili zaczął się zmieniać twój stosunek do Szkoły. Owo nocne objawienie otworzyło ci oczy na niezwykłość sytuacji, której inaczej długo jeszcze byś nie zauważał, pozbawiony skali porównawczej. Lecz teraz wiedziałeś; wypowiedzieli ci bohaterowie thrillerów z Mike'owego wideo, podszeptęła święta cisza wielkiego, ciemnego budynku: jest w Szkole jakaś Tajemnica.

## Nauczanie początkowe

Dużą wagę przywiązywali do języków. Angielski, ale przecież także portugalski, w którym nie umiałeś wszak ani czytać, ani pisać, ani nawet poprawnie mówić; także języki syntetyczne, i kodowe, i komputerowe, od tych wysokiego rzędu poczynając, a kończąc na maszynowych, bazujących na zapisie wyłącznie zerojedynkowym. Przejście do matematyki było zatem bardzo łagodne, prawie niedostrzegalne. I po prawdzie nie dostrzegałeś w nim niczego nienormalnego (bo i jakaż była ta twoja norma?), nie protestowałeś przeciwko programowi nauczania, który nijak się miał do poziomu twego dotychczasowego wykształcenia i wychowania, do twojego pochodzenia i wieku; to nie było miejsce, w którym można swobodnie protestować, to nie byli ludzie, którzy by podobne protesty tolerowali, a i ty nie byłeś przyzwyczajony do takiego sposobu myślenia, co zezwala na bunty skierowane przeciwko rzeczywistości. Rzeczywistość się akceptuje, albo rzeczywistość nie akceptuje ciebie i dopiero wtedy jest naprawdę źle. Więc uczyłeś się pilnie. I wcale nie tak od razu domyśliłeś się ich wysokiej oceny twojej inteligencji. Ale wreszcie pojąłeś: oni by cię tu nie przywieźli, gdyby nie byli pewni, że podolasz. To te testy, te testy, które ci robiono jeszcze na policji i w domach opieki. Zostałeś wybrany.

Z filmów wideo domyślałeś się jak wygląda klasa w zwyczajnej szkole. A tu nie było klas. Ta Szkoła zatrudniała więcej nauczycieli, aniżeli posiadała uczniów. Nie wystawiano w niej ocen. Nie istniał tu podział na godziny lekcyjne i konkretne przedmioty. Nie było rywalizacji pomiędzy dziećmi: każdy pobierał nauki w całkowitej separacji od reszty. I choć miewaliście okazję wymienić się swymi doświadczeniami, bo nikt nie zabraniał wam prowadzenia rozmów (w ogóle nie wydawano sztucznie egzekwowalnych zakazów; jeśli coś było zabronione, po prostu nie miałeś szans, by zarządzenie to złamać, i z tej niemożliwości właśnie wnioskowałeś byłeś o zakazie), i rzeczywiście często się nimi wymienialiście – nie naruszało to jednakże w żaden sposób narzuconego schematu nauki. Ci znajdujący się na etapie nauczania początkowego – jak ty przez pierwsze miesiące – uczyli się w zasadzie wszyscy tego samego. Dopiero później ścieżki ich edukacji się rozchodziły, lecz później – później rozchodzili się i oni sami: przenoszono ich do innej części Szkoły. A nie istniała również reguła określająca moment tego przeniesienia, nie miał nań wpływu ani wiek ucznia, ani długość okresu dotychczasowej jego nauki.

W każdym bądź razie wy tej reguły nie znaleźliście. Polecenie przeniesienia mogło nadejść każdego dnia. Lecz ów stan ciąglego zawieszenia 'pomiędzy', dla innych być może męczący, dla ciebie nie był niczym niezwykłym; w istocie to do pogrążenia się w rutynie i spokoju niezmienności musiałbyś się przyzwyczajać. I nie stanowiłeś pod tym względem żadnego wyjątku wśród wychowanków Szkoły. Nie zabraniano wam rozmów, więc rozmawialiście: oni wszyscy byli takimi samymi wyrzutkami jak ty, Puño. Wszystkich ich pozbierano – za pośrednictwem policji lub innych rządowych instytucji – z miejskich śmietnisk, ze slumsów, z rozbitych melin. Znaleźli się tu – uświadomiłeś sobie wkrótce – właśnie dlatego, że nie było nikogo, kto mógłby się za nimi ująć, kto mógłby ich odszukać i z pomocą jakichś bohaterskich prawników wyrwać ze szponów Szkoły. Szkoła brała tylko tych, którzy dla świata i tak już nie istnieli. Twoja wideoświadomość podpowiadała ci oczywiste odpowiedzi na pytanie o powód zastosowania podobnego kryterium selekcji: straceńcze misje, zbrodnicze doświadczenia na ludzkich organizmach; tajemnica, tajemnica. Ale Szkoła była tajna oficjalnie. Któregoś mroźnego zimowego poranka zobaczyliście przez zakratowane okna o zaparowanych waszymi oddechami szybach – wysiadających z samochodu przed tarasem trzech wojskowych: ciemne okulary, neseserki, szare mundury, wysokie szarże. Gwieździstymi nocami ów domniemany sekret Szkoły był piękny i podniecający, lecz w świetle dnia roztopiał się pośród setek nowych słów z nowych języków, rzędów równań różniczkowych, chaosu  $n$ -wymiarowych symulacji abstrakcyjnych procesów na jasnych ekranach komputerów. Komputery lubiełeś, te martwe maszyny nie posiadały własnej woli i musiały cię słuchać. Była w Szkole cała wypełniona nimi sala, w której spędzałeś dziesiątki godzin, w samotności, w ciszy przerywanej jedynie skrzekiem rozpedzonych twardych dysków i kliknięciami myszy oraz przycisków klawiatury. Myślałeś: Puño i komputery; Cillo Złoty. A to był przecież dopiero początek.

## Wieczorne opowieści

- Co dalej?
- Zabiją nas, wszystkich nas zabiją.
- Przymknij się, Rick!
- Dzisiaj spytałem się Siwego.
- I co powiedział?
- Że zobaczymy. Oni mają przykazane, żeby nic nam na ten temat nie mówić.
- Bo byśmy się wystraszyli. Mówię wam, ucieknijmy stąd!
- Przymknij się, Rick.
- Przywieźli dwie dziewczyny. Widziałem.
- Gdzie oni je trzymają?
- Co jest na trzecim piętrze?
- Albo w zamkniętym skrzydle?
- Na co im tyle dzieci?
- Nas to jakby już nie było. Mieliście kiedyś jakieś dokumenty? Rejestrowano was gdziekolwiek oprócz policyjnych kartotek? Ilu z was nawet nie ma nazwiska?
- O co ci chodzi, Puño?
- Oglądałeś 'Mechaniczną pomarańczę'? W tej Szkole nie ma nikogo, kto nie kwalifikowałby się do poprawczaka.
- A ja wam mówię, że to są jakieś medyczne eksperymenty. Będą z nas przeszczepiać mózgi, serca, wątroby...
- ...dla jakichś pokreconych, cholernie bogatych dziadków.

– Ale to nie jest prywatny biznes!

– I po co ta nauka? To bez sensu. Dzisiaj kazali mi tłumaczyć symultanicznie na trzy języki. A potem dali do oglądnięcia kurewsko nudny balet, myślałem, że tam przysnę.

– Małego znowu wzięli na testy.

– Co, Mały, nic nie pamiętasz?

– Wiesz jak to jest. Dają coś do wypicia, a potem się budzisz po paru godzinach i jakbyś se strzelił Księżycową.

– Tu są miliony. Dziesiątki milionów. Widzieliście sprzęt. To musi im się jakoś zwrócić.

– Frank ponoć groził, że zastrajkuje.

– Jak niby?

– Przestanie się uczyć.

– O co mu chodzi?

– A bo ja wiem?

– No i co mu odpowiedzieli?

– Nie powtórzył. Miał rozmowę z Cycatą.

– Pewnie go zastraszyła.

– Na początku mówili, że nas po prostu odeślą, jeśli nie będziemy się uczyć. No i faktycznie; pamiętacie tych zbuntowanych? Nie jedzą, nie piją, ani słowa nie wymruczą; ich też wywozili. A nad tobą co wisi, Puño? Dwa morderstwa?

– Aha. Mówię: oni tu na każdego mają haka. Nawet jakby kto uciekł – to co zrobi? Może to jest więzienie, ale powiedz mi, Jim, powiedz mi, Xavier: czy kiedykolwiek żyliście sobie tak wygodnie?

– Ty, Puño, kurwa, chory jesteś! Widzisz te kraty? Widzisz?!

– Puść go!

– Jaja se robisz, człowiek; nie mów, że sam nie zwałbyś, jakbyś miał okazję.

– Pewnie bym zwał. Chociaż... nie wiem; może nie. No co, tak wam tu źle?

– Głupi jesteś, Puño, głupi jak ślepy kogut.

– Uciekać...

– ...trzeba zawsze.

Wtedy jeszcze żaden z was nie wiedział, że nie tylko pokój Xaviera, w którym się zbieraliście, ale każdy z pokoi, korytarz oraz łazienki – że pomieszczenia te co do jednego są gęsto naszpikowane nagrywającą wszystko non stop aparaturą audio i wideo, zminiaturyzowaną do niemal absurdu. Nie umknie tym kamerom i mikrofonom ani jedno wasze słowo, ani jeden wasz gest, grymas twarzy, niedopełniony ruch. W bezludnych podziemiach Szkoły – o czym, podsłuchawszy, dowiesz się dużo, dużo później – nienasykalny superkomputer magazynuje w sobie rozbite na cyfrowy proch i pył obrazy z milionów metrów taśm wideo.

## Teraz

A prawda jest taka, że już nigdy nie przejrzy się w lustrze i nie zobaczy swego ciała, choćby właśnie na wideo nagranych. Puño, mój drogi – powiedziała mi przed dwoma tygodniami Dziwka – ty już nie jesteś człowiek. Więc kto? Ty jesteś Puño. Puño. Pamiętaj. Obraz swego ciała zastąpił obrazem swego imienia. Kiedy myślał 'Puño' – a myślał często, kazali mu tak myśleć, by nie zapomniał o sobie – rozwijał mu się z tego słowa jakiś młody półbóg, poczwarka tytana. W imieniu była siła. Wszystko mu wytłumaczyli. Nie ma drugiego takiego jak ty, Puño. Jesteś jedyny. Tak, tak. Potem Felicita Alonso już nie mogła na niego patrzeć bez obrzydzenia, ale to było po operacji oczu i nie ranił go brak wyrazu jej

twarzy. Obserwował za to jej kości, pożywienie rozpuszczające się w jej żołądku, krążenie utlenionej i odtlenionej krwi w jej organizmie. Po jego próbie samobójczej musiała spędzać z nim dużo czasu i to wtedy zaczął słyszeć jej myśli. Wierzył Puño w potęgę swego słuchu, słyszał przecież wszystko – a zatem i jej myśli. To niemożliwe, powiedzieli mu, myśli nie można usłyszeć. Ale wiedział swoje. Strach wydawał w jej głowie krótkie i szybkie, szeleszczące dźwięki. Zmęczenie było długim, niskim drżeniem tłustego basu. Gniew jęczał na wysokich tonach, w kakofonicznych zrywach. Frustracja była słabym pulsem wieloechowego bębna. Puño mówił im to wszystko, ale oni nie dawali mu wiary. To wtedy podjęli decyzję wykastrowania go ze snów, Snów i marzeń; co miał wyśnić, już wyśnił. Toteż teraz, przytomny, choć odcięty od świata i ściągany martwym balastem pamięci w przeszłość – śni jednocześnie swój jedyny możliwy sen: ułudę telepatii. Mam, posiadam, ukradłem ich myśli – mówi sobie zamknięty w więzieniu swego ciała. Ja. Mam. Ukradłem. Burza łagodnieje, konwój przyspiesza, wozy głódziej suną po mokrym jezorze asfaltu i ciało Puño nie skacze już tak na noszach. Felicita rzadziej jest zmuszona dotykać jego ohydnej skóry, tego semiorganicznego tworzywa złożonego z wielu sztucznie zaprojektowanych i wyhodowanych symbiontów, którego kolor przywodzi na myśl wiekową rzeźbę, faktura – grzybowatą narośl, a zapach (którego Puño, rzecz jasna, nie czuje, pozbawiony zmysłu węchu) – stare krematorium pracujące w wilgotnym upale. Pod tą skórą – to widać – mięśnie Puño nie układają się tak, jak powinny się układać mięśnie dziecka. W dotyku są jak kamień. Rogowate narośle na bezwłosej jego czaszce też czemuś służą, był jakiś cel w ich zaszczerpieniu, lecz ochroniarzowi wydają się po prostu obscenicznym obrzydlistwem. Zwłaszcza w połączeniu z ptasimi, drapieżnymi pazurami u palców rąk i nóg chłopca i makabrycznie zdeformowanymi jego stopami. Ochroniarz czyta książkę, żeby utrzymać spojrzenie z dala od Puño. Jednakże przegrywa tę walkę. On ma syna w tym wieku i to jaskrawe, karykaturalne spotwornienie owego znanego mu tylko z kodowego hasła dziecka – sprowadza nań, wbrew jego woli, gorzkie, chorobliwe skojarzenia. Felicita Alonso natomiast ma twarz jak pośmiertną maskę. Jej obrzydzenie jest innej natury. Ona musiała przecież za każdym razem przekonywać Puño, że to wszystko wyjdzie mu na dobre. Będzie dobrze, mówiła, a on wiedział, że kłamie, ale chciał słyszeć te kłamstwa, dużo kłamstw i często powtarzanych, z przekonaniem, z siłą. Wszystko będzie dobrze. A dobro istnieje, wiedział to dzięki wideo Miłego Jake'a. To jest jakaś ciepła światłość, jakaś biel i cicha, spokojna muzyka, a także śmiech wielu ludzi, i matki z dziećmi, i kochankowie w uścisku, i miejsce schronienia, dom; to jest jakaś jasność, a on ku niej wciąż podążał.

## Kiedy jeszcze śniłeś

Nigdy nie pływałeś, nie umiałeś pływać – a w Snach to właśnie czyniłeś. Nurkowałeś w głębinę, i tam było światło. Zazwyczaj bałeś się światła; nie w Snach jednakże, nie w Snach. Zaczęło się ono pojawiać już po przeniesieniu cię ze wspólnego skrzydła do izolatki na parterze. To nie była kwarantanna, i nie było to więzienie, nie dosłowne – teraz już po prostu nie posiadałeś możliwości kontaktu z innymi uczniami w Szkole: zostałeś odizolowany. A sam pokój był przecież większy i lepiej wyposażony. Tyle, że nie miał okien. Zapadałeś w nim w sen wyjątkowo łatwo.

Bo kiedy jeszcze śniłeś... ach, cóż to były za sny! Cóż to były za wspaniałe, ohydne, dzikie i piękne Sny! Budząc się w bezdechu w absolutnej ciemności nocy, w przepoconej pościeli, w chłodnym powietrzu zamkniętego pokoju, wcale nie przerażony, co najwyżej śmiertelnie zdumiony – wślepiałeś się długo w mrok, znieruchomiały paralizem dezorientacji, bezkutecznie usiłując zrozumieć wizję, z której dopiero co się wynurzyłeś – usiłując pojąć skąd się ona wzięła w twojej głowie, co za wspomnienie, jakież skojarzenie ją zrodziło. Nie raz, nie dwa i nie trzy; te Sny napływały co noc a nie było przed nimi obrony. I jeszcze w jasnym świetle dnia dosięgały cię niespodzianie w połowie jakiejś czynności,

w uskoku myśli – marszczyłeś brwi, gubiłeś słowa: co to jest? skąd się wzięło? Miast bezsensownej bazgraniny bądź regularnych figur, w chwilach głębokiego zamyślenia jęły się samowolnie pojawiać pod twoim ołówkiem dziwne, faliste kształty, sylwety jakiegoś niewyraźne, hipnotyczne ornamenty. Oprzytomniawszy, wpatrywałeś się w nie, zdziwiony.

Nie utrzymywałeś już z innymi kontaktu i sam wysnułeś ów pochopny wniosek: to ten pokój, to z niego Sny. Objawiło ci się prawo: zaczęłaś wszak Śnić równo z przeniesiem, w noc po odseparowaniu od grupy.

– Ty wiesz o Snach – rzekłeś pewnego razu Dziwce, zmieniając temat w środku dyskusji o filozofii teatru *no*. – Zabierzcie mnie z tego pokoju.

– Co ty mówisz, Puño? O jakich snach?

Ale widziałeś, że kłamie.

A Sny były takie:

Na początku woda. Może nie woda, ale jakaś ciecz. Może nie ciecz, lecz zawieszona wszędzie wokół substancja, ciężka i lepka, boleśnie spowalniająca ruchy. W każdym razie – płynąłeś w niej. Nurkowałeś. Ku światłu. W dół? Tak podpowiadałaby logika, ale sny – a zwłaszcza Sny – posiadają własną. Równie dobrze światło mogło oznaczać górę. To kwestia nie do rozstrzygnięcia: nigdy doń przecież nie docierałeś. Ciemna nibyciecz zamykała się wokół ciebie, traciłeś orientację, traciłeś poczucie ruchu, nawet poczucie istnienia. Przypominało to stan zawieszenia pomiędzy kończącym się a rozpoczynającym kolejnym snem – jednak tym nie było: Sen stanowił jedną niepodzielną całość. Ciągnął się i ciągnął, odmieniając się nieznacznie w miękkim kalejdoskopie wielocieni: w mroku pojawiali się Oni. Gdybyś dotarł do owego światła końca – może i zobaczyłbyś Ich. Tu, w głębinie, jedynie wyczuwałeś czyjąś obecność. I odczucia tego nie da się opisać, tak jak nie da się w pełni objąć pamięcią i rozumem mgielnej materii snów: nikt nie stworzył esperanta marzeń nocnych, onirystycznej mowy ciszy, języka zawierającego słowa definiujące stany i bodźce istniejące jedynie po ciemnej stronie jawy. Przebudziwszy się, zdesperowani, poszukujemy jakichś przybliżeń, uproszczeń, niezgrabnych przyrównań – bezskutecznie. Tak samo ty, Puño – budziłeś się, gapieś w ciemność i próbowałeś wgrzyźć w jeszcze ciepłe mięso zabitego twoim nagłym przecknięciem się Snu. Ale to trucizna. Piekła ci myśli, wypływałaś ją pospiesznie. Obce, obce, złe.

Cóż zatem pozostawało ci ze Snu na czas światła? Wrażenie, tylko ono. Ulotne i nieopisywalne, niczym nie do końca uświadomione sobie wspomnienie. Impresja czegoś, czego śnić nie miałeś prawa. Oni, mówiłeś sobie; ale i to było zaledwie słowo, nic więcej. Wiedzieliś, przeczuwałeś, iż świadomie zapamiętana część Snu stanowi jedynie ułamek przepływających przez twój śpiący umysł ciemnych wizji. Ta ciecz, to światło, ta ciemność... Tak naprawdę Sny były o wiele bogatsze.

## Pierwsza operacja

Żadnej z operacji nie pamiętasz, to dziury w ciągłej materii twych wspomnień, jak tamte testy zakazane: białe interludia pustki. Był piątek, pracowałeś właśnie nad udoskonaleniem komputerowego modelu konstruowanego przez siebie przestrzennego języka, opartego na zmianach trójwymiarowego układu różnokolorowych brył i figur oraz zmianach ich rozmiarów; ćwiczyłeś ich 'czytanie' przy współczynniku przyspieszenia projekcji wynoszącym 2.4 – gdy nagle zmógł cię sen. Ostatnia myśl: ten pokój... I już spałeś. Potem domyśliłeś się oczywistości: gaz usypiający. Ale przecież i tak nigdy nikomu nie ufałeś.

Przebudzenie to twarz Dziwki.

– Słyszysz mnie, Puño?

Szarpnął tobą zimny strach: TE DŹWIĘKI. To była pierwsza operacja, a właściwie pierwszy ciąg operacji: ocknąłeś się wszak dopiero w środe: przez owe pięć dni stanowiłeś obiekt dziesiątków mniej i bardziej skomplikowanych zabiegów, zresztą nie tylko chirurgicznych. Wiedziałaś o nich chyba wszystko; krótko po przeniesieniu do bezokienego pokoju Dziwka zaczęła ci opowiadać o czekających cię transformacjach, a wchodziła w takie szczegóły, iż w końcu jęło cię to wyliczanie przyszłych tortur nudzić, zwłaszcza, że jedyne pytanie, odpowiedź na które naprawdę cię interesowała – a mianowicie pytanie o powód, przyczynę tego wszystkiego – zbywała bezczelnym odwoływaniem się do twego rzekomego zaufania do niej oraz obietnicą obszernych wyjaśnień w bliżej nie określonej przyszłości. Tak więc niby byłeś poinformowany. Ale co innego słowa, co innego rzeczywistość. TE DŹWIĘKI. Mówiła ci o boskim słuchu, jaki zyskasz, lecz jakże wyobrazić sobie niewyobrażalne? Teraz zaś faktycznie słyszałeś – słyszałeś niemal wszystko.

– Aaaaaaaa!!

– Cicho, Puño, cicho...

Co za symfonie we własnym oddechu, jakie burze i huragany w biciu własnego serca, w przepływie własnej krwi... Cisza została ostatecznie obalona, nigdy nie powróci. Puls pochylonej nad tobą Dziwki, sercotakt żył jej jasnej szyi, przebiegających tuż pod delikatną skórą, zagłuszał słowa. Szelest cudzych poruszeń, echo życia zza białych ścian: bił na ciebie zewsząd jeden wściekły, niekończący się wrzask.

– To przejdzie, Puño, to przejdzie, przyzwyczaisz się, nauczysz, my cię nauczymy; już dobrze, Puño, już dobrze...

Szepnąłeś samym ruchem warg:

– Zabierzcie to.

Słuch przytłoczył ci inne zmysły, ale przecież w końcu spostrzegłeś z przerażeniem potwierdzenie pozostałych zapowiedzianych zmian: brak czucia, przytępienie smaku i węchu oraz przyspieszenie procesu percepcji świata, w samotności niemal nieweryfikowalne, lecz rozpoznawalne po nienaturalnym, ociążałym rozleniwieniu Dziwki w gestach, minach i ruchu warg, spomiędzy których bucha ów dziki ryk.

A przecież o wszystkim, o wszystkim tym cię skrupulatnie uprzedziła. Przychodziła w przerwach zajęć ze wciąż zmieniającymi się nauczycielami języków istniejących i nieistniejących – i opowiadała bajki. Będiesz, Puño, wielki; będziesz, Puño, półbogiem; o tobie, Puño, inne dzieci będą się uczyć. Była to argumentacja, która w jakiś sposób przemawiała do twej żarłocznie egoistycznej natury, lecz tak naprawdę wprowadzała jedynie zamęt. Wszak uczyłbyś się i tak, ostatecznie to było po prostu ciekawe – ale te tajemnice, te obietnice, atmosfera nieustannego zagrożenia... i Dziwka, niczym kapłanka jakiejś technoreligii, głosząca niezłomnie proroctwo twego rychłego wniebowzięcia... doprowadzało cię to do stanu chorobliwej irytacji.

– Oni i tak nic o mnie nie będą wiedzieć! – krzyczałeś na nią, rozeźlony, a ona doskonale wiedziała kogo masz na myśli. Choć nieodmiennie zaskoczona twoimi wybuchami, sama nie podnosiła głosu. Nigdy tak do końca cię nie rozumiała. Stanowiłeś dla niej ciemną zagadkę, psychologiczną kostkę Rubika: przez godziny i godziny niewolniczo posłuszny, potulny i pokorny w zachowaniu i słowach, aż tu nagle totalnie zbuntowany, pałający gorącą nienawiścią do wszystkiego i wszystkich. Nie odwiedziła miejsca twych narodzin. Cóż oni wiedzieli o wzajemnym porozumiewaniu się, ci eksperci od translacji, niewładni przełożyć krótką myśl z puñowego na niepuñowy; jakich prawd fałszywych mogli cię nauczyć?

## Genesis

Oni i tak nic o tobie nie będą wiedzieć, bo opuściwszy Miasto, opuściłeś cały ich świat, przestałeś

zatem istnieć – dla nich nie ma już Puño. Dziwka nie zna tego miejsca. A gdyby nawet tu przyjechała, gnana pragnieniem odkrycia tajemnic najciemniejszych zakątków twego serca – również niewiele by zrozumiała, jeśli coś w ogóle. Urodzona poza Miastem, urodzona w USA, ze znanej matki i ojca; wychowywana, wychowywana, wychowywana – należy do innego gatunku. Felicita Alonso, latynoska piękność o zimnej twarzy, ciepłych oczach – cóż takiego by zobaczyła tymi oczyma, przechodząc w upale dusznego południa przez labirynt dzielnicy slumsów, gdzie ty spędziłeś niemal całe swe życie? Otóż piekło, ujrzałaby piekło w najjaskrawszej postaci swoich wyobrażeń. I poza owo ekstremum swej imaginacji żadną myślą nie byłaby zdolna już sięgnąć. Ten smród bijący pod zasnutę kolorowym smogiem niebo, ten ogłupiający, przyprawiający o ból głowy, wszechobecny smród. Tu na ziemi, na ścieżkach krętych – bo ulic po tej stronie doliny nie uświadczysz – we wnętrzach tekturowych, blaszanych, drewnianych i plastikowych bud, i pod ich ścianami, i wszędzie dookoła, zalegają zwąły, sterty i bagna organicznych i nieorganicznych śmieci wszelkiego rodzaju. Tu wszystko się rozkłada, gnije, niszczy, rozpada, dezintegruje w powolnej męce nieustannego wzrostu entropii: ludzie i przedmioty. Ktoś rabuje świeże zwłoki, inne, już nagie, pęcznieją na słońcu, cierpliwie dojrzewając jako pokarm dla owadów, szczerów i psów. Jest południe, więc w miarę cicho, skądś z dala ryczy radio, płacze gdzieś kobieta, terkocze pod chmurami helikopter; prawdopodobna Felicita Alonso podąża wzdłuż naturalnego ścieku, starannie omijając obszary co większej ohydy; ściek wysechł prawie całkowicie, toczy się jego korytem jedynie jakaś gęsta breja, ciemna i granulasta. Wielkie oczy nagich dzieci śledzą każdy ruch prawdopodobnej Felicity Alonso, bo prócz niej wszyscy trwają tu w bezmyślnym letargu, poukrywani w wilgotnych cieniach krzywych zadaszeń. Niewiele zobaczy, złą porę wybrała, w tym świecie obowiązuje strategia przeżycia rodem z obozów koncentracyjnych – minimalna strata energii, maksymalny zysk – i w czasie południowej kanikuly nikt nie wykona jednego zbędnego gestu, oddechu szybszego, niż musi; trwa w pałacej ciszy tortura przymusowej sjeisty. Dzielnica ożywa w nocy, to wtedy powinna ją odwiedzić prawdopodobna Felicita Alonso – wszak po przekroczeniu jej granicy szanse na przeżycie posiada nieskończenie nikłe zarówno przed, jak i po zmroku, bez żadnej różnicy. Ale prawdopodobna Felicita Alonso odwiedziła ją właśnie teraz i jest w stanie dostrzec jedynie owe nikłe oznaki prawdziwego życia tego miejsca, zagadki i pytania wykluwające się z dostrzeżonych tu i ówdzie szczegółów: gdzie się podziali dorośli? dlaczego tyle tu dzieci? czy nie ma tu nikogo, kto posiadałby więcej jak kilkanaście lat? Nie wie i nie rozumie, że w miejscu owym czas biegnie z inną szybkością, że tu w ogóle nie ma dzieci, że jedenastoletnie kobiety rodzą tu bez jęku w parne, bezgwieździste noce nienaturalnie drobne i kościste istoty, wypychając z wąskich miednic sine ich ciała w odwieczny brud mieszkalnych śmietnisk, w ciszy i milczeniu wszechnienawiści; że lat dwadzieścia to starość i że nie ma tu miejsca dla kalek. Prawdopodobna Felicita Alonso odczytuje to po swojemu: piekło, piekło. Nie widzi jak ją zachodzą ze wszystkich stron, skryci za niskimi zabudowaniami. Kiedy w końcu zagrządzają jej drogę i orientuje się, iż jest otoczona, nie pozostawiono jej żadnej drogi ucieczki, a ich jest aż tylu – wciąż myśli niepojętnie: czego te dzieci chcą...? Bez słów, bez obrazów – oni obcy, obcy. Za chwilę prawdopodobna Felicita Alonso zostanie pobita do nieprzytomności, obdarta i ograbiona ze wszystkiego, co ma na sobie, po czym brutalnie, sadystycznie, po wielokroć zgwałcona przez hordę tych Puño. Może wtedy – prawem utożsamienia ofiary z dręczycielem oraz przez rzeczywiste poniżenie spowodowana do tegoż samego poziomu strachu i wściekłości – może wtedy zrozumie coś z ich życia, chociaż i to nie jest wcale takie pewne. Bo co powoduje, iż z zastraszonego, autystycznego niemal chłopca zmienia się wtem Puño w chorego gniewem złoczyńcę? Jaki taniec tańczą mu w głowie myśli? Jaki jest ich kolor? Jaka pieśń? Nikt nie nauczył Dziwki sztuki translacji cudzych uczuć, a ona, i ci doktorzy, ci profesorowie – tego właśnie próbowali nauczyć ciebie.

## Teraz

To tutaj. Karawana zwalnia. Jest boczna droga, ciemna, nieoświetlona i nieoznaczona – to tutaj, to w nią skręcają wszystkie wozy karawany. Ochroniarz chowa książkę. Konwersuje coraz dłuższymi zdaniem ze swoimi niewidocznymi kolegami. Sama Felicita Alonso też rozmawia: przez telefon, z ludźmi znanymi jej tylko z imienia i nazwiska, z tych akt, które czytała jeszcze w Szkole. – Puño. Tak, Puño. Nie z naszej winy to opóźnienie. Są gotowi? Co to znaczy? Nie, nie; on jest na Otcłłań Czarnych Mgieł. Było ustalone. Co to znaczy, do cholery? Mam go tu na podśnie. W takim razie zadzwoń pan do generała. A żeby pan wiedział, że napiszę! – Droga zakręca, opada i wznosi się, niczym jęk jazzowej trąbki w zadymionym klubie. Ambulans jedzie znacznie wolniej i wcale mocno nim trzęsie. Ciało Puño kolebie się na noszach; Felicita Alonso machinalnymi ruchami poprawia ułożenie oplatającej go sieci macek podsufitnej aparatury. Deszcz przestał padać, burza minęła, zbliża się świt; lecz tymczasem trwa jeszcze noc, noc bezksiężycowa, i tu, w środku dzikiej puszczy, pod konarami starożytnych drzew, panuje ciemność niemal absolutna. Światło reflektorów pojazdów opornie wciska się w gęstą materię mroku. Krótkofalówki kierowców skrzeczą w ciągłym dialogu: tylko jeden z nich jechał już kiedyś tą drogą. Zwalniają jeszcze bardziej, bo oto zbliżają się do punktu pierwszej kontroli. Żołnierze przepuszczają ich jednak bez zbędnych formalności. Ale po drugiej stronie droga jest jeszcze gorsza, nie można przyspieszyć, trudno nawet utrzymać tę samą prędkość. Ochroniarz, po rzuceniu w powietrze paru pozornie nic nie znaczących uwag, po raz pierwszy odzywa się do Felicity Alonso: – Kłopoty? – Nie – ucina ona. Drugi punkt kontrolny. Wysokie ogrodzenie wyrastające metalowym szkieletem z leśnej gęstwiny. Sierżant z noktowizorem na oczach zagląda do wnętrza ambulansu i dotychczas wypełniające wóz, klinicznie czyste powietrze natychmiast zostaje wyparte przez chłodną, wilgotną, aromatyczną mieszaninę roślinnych gazów życia i śmierci. Puño i tego nie czuje. Kwadrans później, kiedy samochody zjeżdżają pod ziemię, w ciemną paszczę rozsuwających się zgrzytliwie, ciężkich wrót, on dryfuje coraz głębiej i głębiej – w pamięć. Śni o snach. Wyjmują go z wnętrza pojazdu, kładą na innych noszach; i oto jedzie jaskrawo oświetlonymi korytarzami, a za nim podąża truchtem zaaferowana Felicita Alonso, jednocześnie podpisująca dziesiątki przeróżnych formularzy, druków i oświadczeń, wydająca polecenia tłumkowi lekarzy i strażników oraz zajadłe klóca się przez telefon z nieznanym osobnikiem w stopniu majora. Niski i chrapliwy kobiecy głos wygłasza przez interkom wezwania, ostrzeżenia, administracyjne obwieszczenia. Puño tu nie ma, on jest w swych snach ostatnich. Miał sny, jakich nie miał nikt. Miał Sny.

## Kiedy jeszcze śniłeś

A potem Ich zobaczyłeś. Tańczyli. To znaczy: ty widziałeś taniec. Ale skąd mogłeś wiedzieć czym są te ruchy, skoro nie wiedziałeś czym/kim są Oni? Co gorsza, nie słyszałeś Ich, a że ten Sen przyszedł już po pierwszej operacji, czuleś się w jego bezdźwięcznym świecie nieomal kaleką. Jak opisać coś, co wymyka się porównaniom? To musiał być sen, tylko sny pozwalają na podobną bezsłowną wolność myśli; nie musisz znać nazwy rzeczy, by o niej śnić. Zatem i to słowo – 'taniec' – musiało się zrodzić już po przebudzeniu. W Śnie go nie było. W Śnie byli Oni i zmiana. Raz, dwa, trzy – dookoła ciebie; powoli, ale wciąż inaczej. I również dopiero po przebudzeniu zacząłeś się zastanawiać nad możliwymi znaczeniami tych poruszeń i przemieszczeń, bo tam, w ciemnym letargu, zdolny byłeś jedynie do spokojnej kontemplacji, na pewno nie do zadawania pytań, na pewno nie do nadawania nazw. Pod tym względem sen stanowił środek optymalny. Ale przecież od początku był to jeden z twoich podstawowych dogmatów: Szkoła jest cwana. Dziwka będzie kłamać, zaprzeczać oczywistości, póki nie uzyska

pozwolenia od Szkoły. Więc w końcu przestałeś ją nawet pytać, choć Sny były coraz nachalniejsze. Myśli Szkoły, jak każdego instytucjonalnego bóstwa, pozostawały nieprzenikalne dla umysłów pojedynczych ludzi.

To już większy wgląd posiadałeś w Ich myśli. Być może owa obserwowana przez ciebie prosta progresja siły i długości Snów stanowiła jedynie złudzenie powodane ciągłą zmianą filtrów twojej pamięci: Sny były takie same, lecz ty budziłeś się pamiętając coraz większą i większą ich część, coraz wyraźniej. Być może nawet – dopuszczałeś taką ewentualność – nie wynikało to z ingerencji Szkoły, a procesu przystosowywania się twego umysłu do nieznanego, tak jak organizm systematycznie dręczony dawkami trucizny potęguje swą odporność nań, choć jednocześnie uzależnia się od chemicznego wpływu specyfiku.

Lecz w sztucznym świetle sztucznego dnia nie tęskniłeś za Snami, nie świadomie w każdym bądź razie. Po prawdzie bałeś się ich. Szkoła wyrządzała ci kolejną krzywdę, a ty nie byłeś w stanie temu zapobiec.

Tańczyli, a niestała materia ich nieciał skręcała się cienistymi wirami z otaczającej was niecieczy. Wiszące w górze/dole słabe światło migotało nieregularnie. Okrążali cię, rozmywając się w nicość i na powrót stapiając z gęstego, mętnego ośrodka Onirlandu. Jak wiatr, co w niewidocznym powietrzu jest niczym, a porwawszy z ziemi pył, piasek i śmieci i splótnszy je w bicz tornada zyskuje jak najbardziej realne i materialne ciało. Byli niczym fale na trójwymiarowej powierzchni morza, niczym przypadkowe zagęszczenia w rozbulgotanej ciemnej zawieszynie wszechżycia. Dwoje Ich, troje, a nagle dwadzieścia, a za chwilę nikt; i znowu tłum dookoła ciebie. A wyobraź sobie istotę ograniczoną do  $n-x$  wymiarów, gdzie  $n$  jest ilością wymiarów, w których żyjesz ty,  $x$  zaś niech na początek wynosi 1; i wyobraź sobie, że spotykasz taką istotę. Dla ciebie jest jak animowana Myszka Miki na płaskim ekranie telewizora; ale kim ty jesteś dla niej – to znaczy ta część ciebie, którą ona postrzega? A teraz zwiększ  $x$  do 2. A teraz do 3. Już niczego nie jesteś w stanie sobie wyobrazić. Ta iteracja zwie się teogonią.

A jednak – a jednak. Już po przebudzeniu nachodziły cię takie cienie, strzępy myśli, niedokształtowane przeczucia, niby naturalne dla dziennego świata słów: że to coś znaczy. Ten taniec, co nie jest tańcem. I Oni. Że coś mówią. Że to jest język.

## Język

się robi  
się pracuje  
się je  
się pije  
się śpi  
się żyje  
się umiera  
się myśli się

uwaga  
czasowniki zyskują autonomię  
czasowniki walczą o suwerenność  
czasowniki już nas nie potrzebują

uwaga  
apeluję do was  
podmioty dzieł zaniechanych  
rzeczowniki zawieszono w próżni  
na litość boską  
się zrobimy coś  
po nas już tylko partykuła

– Co to jest?

– Wiersz.

– Widzę. Co on ma znaczyć?

– Zniszczyłem tę serwetkę. Skąd go macie? Kamery, co? Wysoka rozdzielczość; no, no, no.

– Niepokoję się o ciebie. Myślałam, że tłumaczenie nie sprawia ci kłopotów, że instynktownie rozumiesz specyfikę języka. Sam mówiłeś: to łatwe. Co to ma znaczyć: 'po nas już tylko partykuła'?

Lubiła tak siadywać na brzegu twego łóżka i przyglądać ci się przy pracy, jak wystukujesz coś na komputerze, wykonujesz skomplikowane, skomponowane specjalnie dla ciebie ćwiczenia translacyjne, albo po prostu myślisz; lubiła tu z tobą przebywać, w tym zewsząd zamkniętym betonem pokoju o jednostronnych oknach obiektywów niewidocznych kamer, przez które mogłaby cię przecież sekretnie obserwować z bezpiecznego oddalenia, ale nie czyniła tego, więc widocznie ceniła twoje towarzystwo. Przychodziła gdy wychodzili nauczyciele. To ona przyniosła ci pierwszy dysk z zapisem obrazów ze Snów. Powiedziała: – Przetłumacz to. – To ona przyniosła ci nagrania z tą niemuzyką. – Po prostu słuchaj jej. – Wydawało się, że Dziwka niemal cię pokochała. Dopiero potem usłyszałeś to określenie: oficer prowadzący.

Odwróciłeś się do naściennego monitora, gdy po raz drugi zaczęła czytać z krótkiego wydruku twój nikczemnie podglądnięty wiersz. Na monitorze trwał balet abstrakcyjnych kształtów. Hasła kontekstów tematycznych wyświetlały się w górnym okienku; to się nazywało 'interpretacja zawężająca'. Balet w przestrzeniach nieeuklidesowych, symbolika ruchu w przestrzeni o ujemnej krzywiznie, filozofia śmierci w rozszczępionym czasie. Zabronili ci czytać książki i oglądać zwyczajne, hollywoodzkie filmy. W Szkole czas bynajmniej nie rozszczępił się, płynął wciąż do przodu, a ty w jego nurcie.

– ...mnie w ogóle słuchasz, Puño?

To było już po pierwszej operacji. – Słyszę twoją krew, słyszę chaos twoich myśli.

– Jesteś zmęczony? Możemy zwolnić. Jakaś rzecz sprawia ci większe trudności? Tylko daj znać. Ty wiesz. To wszystko dla ciebie. My. Ja. Czeka. Jeśli tylko... Co, Puño? Tłumaczysz? Co to za język?

– Język.

– Dlaczego ty się tak zachowujesz? To niegrzeczne; rozmawiam z tobą. Każde słowo muszę z ciebie ciągnąć. Jesteś nieuprzejmy, Puño; nauczyciele też się skarżyli. Jak mogą ci pomóc, skoro nie wiedzą czy rzecz pojąłeś czy nie. Ja ciebie nie rozumiem, Puño.

Raz powiedziała prawdę. Wyłączyłeś monitor i z powrotem odwróciłeś się do Dziwki. Nie patrzyłeś ludziom w oczy, toteż teraz tym bardziej się zdziwiła. Aż uniosła brwi w niemym zdumieniu, pytaniu w odpowiedzi na pytanie.

– Powiedz coś.

Zmarszczyła brwi. – Co?

– Powiedz coś.

Jakoś przeczuła nieszczęście.

– Uspokój się, Puño.

– Powiedz coś!

– Bez przerwy do ciebie mówię. Uspo...

– POWIEDZ COŚ! NO POWIEDZ!

Poderwała się, krzyknęła w przestrzeń: – Histeria! VG-100, dziesięć milimetrów! Szybko!

Wciąż jeszcze na nią wrzeszczałeś, gdy przez z nagłą otwarte drzwi wpadli do środka sanitariusz i lekarz z iniektorem w dłoni; Dziwka się odsunęła, ty skoczyłeś w kąt. Wydruk z wierszem spadł na podłogę.

Dopadli cię w mgnieniu oka i sprawnie obezwładnili. Pistolet dyspersyjny przy ramieniu. Krzyczałeś im w twarz, ogłuszając samego siebie: – Powiedzcie coś! – Ale siła była po ich stronie. Chciałeś ich wszystkich zabić, Dziwkę też, Dziwkę pierwszą. Twoja nienawiść nie zna stanów pośrednich. Lecz przecież nie w nienawiści zabijasz. Po twojej stronie jest strach.

## Smak śmierci

Strach był po twojej stronie, ale po stronie Miłego Jake'a były mury, kraty i zamki. Przede wszystkim, powiedziałaś sobie, muszę pamiętać, że mam jeszcze czas: żyli wszak wciąż dwaj chłopcy, którzy przebywali u Jake'a dłużej niż ty. Jeszcze nie twoja kolej. Można pomyśleć. Co nie znaczy, że można się nie bać. To niebezpieczne; strach zawsze jest po stronie słabszych, to jedyna pewna ich broń, nie odrzucaj go pochopnie.

Cała piwnica i część parteru, wszystkie okna podwójne, gęsto okratowane, wszystkie drzwi z zamkami elektronicznymi, wzmacniane stalowymi sztabami, żadnego telefonu, żadnych połączeń ze światem zewnętrznym. Oczywisty pomysł wywołania pożaru upadł po zorientowaniu się w niezawodności skomplikowanego systemu automatycznych podsufitnych tryskaczy, na który Jake musiał wydać wcale sporą sumę; Jake nie lekceważył was, to w żadnym razie nie był amator, on żył z tego procederu od lat. Trzeba sprawę spokojnie przemyśleć, sposób się znajdzie.

Potem zniknął Gordo. Przed tobą pozostał jedynie Pasmurkian. Ale to już nie miało znaczenia: Jake przestał opierać się na chronologii, Pasmurkian pozostawał wszak w jego stajni dłużej od Gordo. Więc równie dobrze następnym mogłeś być ty. Przyszło ci do głowy czy by nie puścić innym tych zapomnianych przez Jake'a piwnicznych kaset egzekucyjnych, lecz doszedłeś do wniosku, że nie potrafiliby utrzymać tego w tajemnicy, zdradziliby się jakoś i Jake wyprzedziłby wasz ruch, asekurancko mordując wszystkich jak leci; cokolwiek by o nim mówić, nie był to ryzykant i nie był głupiec.

A czas płynął. Teraz już każda sesja mogła okazać się ostatnią. Miły Jake wywlekał cię do samochodu, a ty modliłeś się do okrutnych bogów, żeby to jeszcze nie było to. Raz spróbowałaś mu zwać od drzwiczek wozu, ale złapał cię po paru krokach.

Powoli stawało się oczywiste, że wyjście jest tylko jedno. Zdecydowałaś się na nie, ponieważ nie mogłeś się nie zdecydować. Twe decyzje, te ważne, niemal zawsze zawsze podejmowane były w atmosferze desperacji. Żyłeś wszak z przymusu.

Drzwi, drzwi, które oddzielały waszą część domu od Mike'owej, wychodziły na przedpokój tuż obok schodów prowadzących do piwnicy. Otwierały się do wewnątrz; za nimi był korytarz ciągnący się aż do drzwi wejściowych; wiedziałaś o tym, bo tędy właśnie wyprowadzał was Jake. Odwiedzał was także, by przynieść jedzenie (czasami robiła to Holly) lub wybrać na wieczór którąś z dziewczynek, Holly nie tolerowała bowiem w jego łóżku chłopców – była o to pomiędzy nimi duża awantura, jeszcze przed twoim przybyciem, kiedy to zastała z nim Guyjo; dostało się wtedy świętej pamięci Guyjo nielicho, lecz przynajmniej mieliście później spokój. Dziewczynki natomiast Holly lubiła, byle świeże i nie zanadto pyskate.

Siadywałaś na tych schodach do piwnicy i czekałaś. Po zmierzchu, gdy reszta dzieci już spała bądź

właśnie odpływała w senny haj, panowała w domu cisza niemal kościelna, odgłosy z drugiej części budynku nie przedostawały się przez grube mury: to była stara, stara willa. Czekales w cieniu stromych schodów, w ciszy własnego strachu, w nerwowej nudzie przeciągającego się stresu. Aż piątego wieczoru... otworzyły się drzwi. Traf chciał, że była to Holly, sama przyszła wybrać małą; i dla ciebie był to szczęśliwy traf.

Zdążyła krzyknąć, ale cichy był to krzyk. Rzuciłeś się jej pod nogi, złapałeś ją za kolanami i pociągnąłeś w dół; była w letniej sukience, no a ty owym szarpnięciem rozdarłeś sukienkę: został ci w dłoniach kawał niebieskiej bawełny w żółte kwiaty. Holly spadała w dół schodów jak ciśnięta z wysokości kukielka; bardzo szybko się to odbyło, na wideo strąceni z klatek schodowych ludzie spadali dłużej, ale w prawdziwym życiu sceny rutyny i sensacji przebiegają w jednakowym tempie.

Zbiegłeś na dół, pochyliłeś się nad nią: jęczała coś niezrozumiale, macała naokoło drżącymi rękoma, usiłowała się podnieść, niemrawo i bez przekonania, wciąż co najmniej ogłuszona. Miałeś pochowane po kieszeniach różne podręczne narzędzia mordu; wyjąłeś długopis i – złapawszy kobietę za nos dla unieruchomienia jej przewalającej się bezwładnie z policzka na policzek głowy – wcisnąłeś go do oporu najpierw w lewe, a potem w prawe jej oko; wychodził z trudem, oblepiony jakąś krwawo-szarą mazią. Holly przestała się ruszać i jęczeć już po pierwszym oku, lecz ty byłeś metodyczny: gdybyś odstąpił choć na krok od zaprzysiężonego w nocnym przerażeniu postanowienia – niechybnie zaraz rozpadłoby się w proch całe to twoje pozorne zdecydowanie.

Przeszukałeś ją i zabrałeś klucze: oni zawsze zamykali za sobą drzwi. Teraz tymi kluczami je otworzyłeś. Cicho, cicho, spokojnie, choć serce rwie i myśli krzyczą. Pobiegłeś prosto do wyjścia.

– Holly, co... O kurwa. Stój, Puño, gówniarzu jeden! – Po trzy stopnie na raz przesadzając, Miły Jake pędził z pietra. – No i coś ty najlepszego narobiła? – zawołał w głąb pustego korytarza. Nikt mu nie odpowiedział. On nie czekał na odpowiedź. Rzucił się na ciebie: stałeś przy tych drzwiach wyjściowych (a metr dalej – wolność) doprawdy jak sparaliżowany.

Złapał cię za ramię i jął wlec z powrotem, klnąc przy tym w niedowierzaniu na głupotę Holly. Trafiłeś drugą ręką do innej kieszeni i wyjąłeś małą jednorazówkę, jedną z tych, jakie Jake rozdawał wam wraz z porcjami narkotyków. Ta, wielokrotnie używana, napelniona była teraz twoim moczem. Wbiłeś ją, nieporadnie i krzywo (bo i stara jej igła wielokrotnie była gięta i prostowana) w prawe udo Jake'a. Jake wrzasnął i rzucił cię na ścianę; ostry ból przeszył ci plecy. Nie zdążyłeś do końca wcisnąć tłoku strzykawki.

Mężczyzna wyrwał ją zaraz i podniósł do oczu.

– Co to jest?! Co to jest?!!

– Pieprzyłem twoją matkę! – zawyłeś piskliwie w odpowiedzi, kompletnie bez sensu; lecz musiałeś coś takiego mu w twarz wyrzesczeć, żeby mieć odwagę na dokonanie kolejnego czynu wymyślonemu mrocznie w twym nocnym strachu.

Skoczyłeś mu mianowicie do gardła i rozharatałeś je jednym zamaszystym pociągnięciem kościanego grzebienia, ukrywanego dotąd z tyłu, za spodniami; ten grzebień miał wyjątkowo ostre i twarde zęby, dodatkowo wyszlifowane przez ciebie na betonie piwnicznych schodów w cienkie ćwierćbrzeszczoty.

Jake zdążył jeszcze zdzielić cię krzywym sierpowym w ciemię. Po tym ciosie padłeś na podłogę zamroczony.

Przez te kilkadziesiąt sekund, gdy ty pozostawałeś nieprzytomny, on się wykrwawił. Zastałeś go rozciągniętego za zakrętem ściany, całego we krwi, z rękoma przy szyi, oczyma wytrzeszczonymi, łzami na policzkach, śmiertelnym zaiste przerażeniem w grymasie grubowargich ust. Trafiłeś idąc po ścieżce gęstej czerwieni. Chwilę postąłeś nad nim, z braku siły woli, do ostatka już wyczerpanej, niezdolny nawet do wypełnienia rytualnego *katharsis*: dwóch-trzech kopnięć w bezwładne ciało – po czym odwróciłeś się na pięcie i wyszedłeś w zmierzch nad Kalifornią. Powietrze było takie świeże, takie

orzeźwiający. Przelknął je; strach wyplułeś wraz ze śliną.

Żadnego smaku w ustach: te dwie śmierci były absolutnie jałowe, bezbarwne, bezosobowe; sztuczne. Nie ty mordowałeś, mord był poza tobą.

## Druga operacja

Gwoli prawdy: smaku w ustach to ty już nigdy nie poczujesz. Straciłeś go nieodwracalnie po drugiej – i zarazem ostatniej – przeprowadzonej w Szkole operacji. Straciłeś wówczas także węch i wzrok (a w każdym razie wzrok w człowieczym tego słowa rozumieniu) – lecz to brak zmysłu smaku pierwszy dał ci się we znaki. Leżałeś jeszcze w bandażach na głowie i w masce tlenowej. Przyszła Dziwka, dała ci się czegoś napić – i wtedy skonstatowałeś, iż nie jesteś w stanie rozpoznać rodzaju przelitykanego właśnie płynu. To mogło być dosłownie wszystko, zupełnie nic nie czułeś.

Słyszałeś jedynie pustkę i nieustannie umierające organizmy: własny i Dziwki.

– Co to jest? – szepnąłeś.

Zrozumiała. – Woda z cytryną.

– Ja nic...

– Mówiłam ci.

To prawda. Wszystko ci opowiedziała: będziesz wielki, Puño, będziesz wielki. A szło o to, żeby zrobić z ciebie jeszcze większego kalekę. Bez smaku, bez węchu, z zaszytymi powiekami, pozbawiony gruczołów łzowych.

Z tymi twoimi oczami to nie do końca było tak. Widziałbyś nawet przez bandaż, ale to nie były jedynie bandaż. Dopiero nazajutrz, gdy zdjęli ci tę metalowo-plastikową opaskę – zobaczyłeś. Przejrzałeś na całkiem nowy świat – choć dźwięki pochodzące z niego zaczęłyś słyszeć zaraz po pierwszej operacji. Do starego świata Dziwki i nauczycieli należałeś już w niewielkim stopniu.

To, co zajmowało miejsce twoich gałek ocznych, było wyczułone na fale elektromagnetyczne odpowiadające długością promieniowaniu rentgenowskiemu oraz, w mniejszym stopniu, podczerwonemu. Zaszyte powieki w żaden sposób nie przeszkadzały ci w 'widzeniu'. Nikt też nie mógł cię przez pomyłkę wziąć z tej przyczyny za śpiącego, albowiem po drugiej operacji byłeś już organicznie niezdolny do zapadnięcia w sen, jakkolwiek płytki i chwilowy.

Wszystkie powyższe zmiany, ich kumulacja i odrębne implikacje każdej z nich, wymusiły także zmianę twego otoczenia. Znów przenosiny: inny pokój. Ten odłam ergonomii siłą rzeczy był nauką młodą i Szkoła dużo nauczyła się właśnie na twoim przykładzie, jednak już wkrótce – po tygodniu, dwóch – czułeś się w swej nowej celi jak w domu. To znaczy jednak obco. Teraz twoje nieoczy doskonale widziały poukrywane w ścianach i suficie kamery i mikrofony. To Lewiatan, a ty znajdowałeś się w brzuchu potwora.

Całkiem inny komputer, całkiem inny ekran. Wpłaszczona w biurko sensoryczna klawiatura jaśniała łagodnym ciepłem. Pozornie nieuniknioną monochromatyczność monitora o 'kineskopie' emitującym wyłącznie promienie X przewyciężono dzięki zastosowaniu układu dublującego w podczerwieni oraz przez sprzężenie z nim kompleksowego systemu metagłośników, w który od początku wyposażone było to pomieszczenie. Zaprojektowano je i zbudowano wyłącznie z myślą o tobie, abyś zaczął wreszcie rozwijać swój zmysł nietoperzowej orientacji przestrzennej.

– To dla ciebie, Puño.

– Ale ja nie chcę.

– Wszystko będzie dobrze.

– To nie jest szkoła, ja wiem, to jakiś wojskowy ośrodek eksperymentalny, co wy tu ze mną robicie,

przecież niczego nie uczycie, tylko spotworniacie, spotworniacie, spotworniacie mnie... – nawet otwarcie zdenerwowany mówileś powoli, kontrolując słowa i gesty; na szczerść można sobie pozwolić jedynie w samotności, a samotność doskonała nie istnieje.

– Ależ to jest szkoła, dobrze wiesz; i uczymy cię...

– Tego mnie uczycie?! Tego?! – Nieoczy. Nieuszy. Nieskóra. Nietwarz. Nieczłowiek.

Coś jakby smętne rozbawienie westchnęło w spowolnionym oddechu Dziwki; widziałeś jak porusza swym ciałem w zawsze płynnym przemieszczeniu miękkośćowej aury zwierzęcego ciepła oraz zmianie wzajemnego położenia fioletowych kresk kości i ciemnych, wielopłaszczyznowych splotów jej wewnętrznego mięsa – postrzegane za pomocą nieoczu niekolory niemal automatycznie przyporządkowałaś poszczególnym 'starym' barwom, by uniknąć mnożenia dla potrzeb 'ślepców' skomplikowanych neologizmów, a także dla własnej wygody myśli.

– A ty sądzisz, że co oni robią w innych szkołach? – parsknęła Dziwka. – W tych, które masz za normalne – ty, który do żadnej prócz tej nie uczęszczałeś? Czegóż się naoglądałeś na wideo? Że niby jakie te szkoły? Szkoła, mój drogi Puño, z definicji musi dążyć do dokonania jak najgłębszych zmian w umysłach swych uczniów. Każda. Każda. To, że my akurat zajmujemy się również ciałem – to szczegół. Zasada jest ta sama. Nie możesz wyjść ze szkoły taki sam jak wszedłeś.

Nie pytałeś o prawo szkół do mordowania milionów, ponieważ dla ciebie było ono oczywiste: siła. Lecz nie znaczyło to bynajmniej, iż akceptujesz ten stan rzeczy i poddajesz się odwiecznemu dyktatowi. Ty, Puño, dziecko slumsów, dziecko chaosu, miałeś swoje własne prawo.

## Uciekać trzeba zawsze

Ponieważ uległość to nie to samo co poddanie, a kto raz się podda, ten do końca pozostanie już poddanym, i przetrwanie, jak się okazuje, mimo wszystko nie posiada priorytetu najwyższego. Jednakże tym razem trudności, jakie zmuszony byłeś pokonać, okazały się znacznie większe od przewyżczonych podczas ucieczki z domu Miłego Jake'a. Te mikrofony, te kamery. To musiało być coś nagłego i nieprzewidywalnego, nie wymagającego absolutnie żadnych przygotowań. Niemal pokonała cię absurdalna ergonomia twego pokoju. Lecz przeoczyli wzmacniane krawędzie dolnych szafek. Wystarczyło przesunąć lekko górne i spokojnie odejść pod drzwi. Pięć metrów to mało na rozbieg konieczny dla uzyskania odpowiedniego impetu. Ale uciekłybyś, naprawdę uciekłybyś im – gdyby nie owo, prawie instynktowne, drgnięcie głowy w ostatnim momencie, i chyba już w pełni świadome zaparcie się lewą ręką dla zmniejszenia siły uderzenia: organizm był przeciwko tobie. Krawędź omsknęła ci się po ciemieniu, rozcinając głęboko nieskórę; lekki wstrząs mózgu, ale czaszka nawet nie pęknięta i zero zagrożenia życia. Fiasko kompletne.

Przynajmniej próbowałaś.

Potem, oczywiście – Dziwka. Była na tyle inteligentna, by nie pytać głupio: dlaczego? Chociaż tyle.

– Będziesz wielki, Puño, będziesz wielki. Pieniądze; co tylko chcesz. Taka jest twoja przyszłość. Zobacysz. Gdyby nie Szkoła, zgniłbyś już gdzieś na wysypisku miasta. To jest twój sen złoty; czy ty zdajesz sobie z tego sprawę? Ilu by się z tobą z chęcią zamieniło? Miliony, miliony. Przecież ty jesteś sprytny, potrafisz to sobie skalkulować; otrzymałeś szansę, jakiej nie otrzymał nikt inny. Opłaci ci się to.

Była na tyle inteligentna, by nie mówić jak do dziecka i nie grać na twoich uczuciach, których nie rozumiała; miast tego przemówiła do umysłu chciwego złodziejaska ze slumsów. Tam, skąd pochodzisz, każdy ma jedno marzenie: zostać Cillo. A przecież oni w czasie tych testów, których nie pamiętasz, wyciągnęli z ciebie ostatni strzęp najgłębszych marzeń.

– Przekupujesz mnie – odparłeś wbrew instynktowi milczenia, przyglądając się jak mięsień sercowy

Dziwki ściska się i rozdyma, niczym sparciała rękawica bokserska.

– Oczywiście. To źle? Umowa jest chyba uczciwa.

– Powiedziałas, że to wy mnie nauczycie czego mam chcieć. Przegrałem.

Nie pojęła twych słów. Przegrał? W jakiej grze? O co mu chodzi?

– Nie próbuj tego więcej. Już wkrótce czeka cię podróż; wreszcie sam zobaczysz Mgły. Musisz być w dobrej formie. Przecież jesteś ciekawy, to cię podnieca; nie zaprzeczaj, ja wiem. Pamiętaj: sześć lat. Wrócisz i zostaniesz największym Cillo na Ziemi. Nie będziesz miał jeszcze dwudziestu.

Zacząłeś się śmiać.

Pochyliła się nad łóżkiem. – Co...?

Odwróciłeś się od niej, przekręciłeś na bok, zwinąłeś do pozycji embryonalnej. Chichot przeszedł w coś innego. Wycięli ci gruczoły łzowe, więc nie była pewna. Słyszałeś w jej głowie zmieszanie, frustrację i cichy strach.

– Proszę – szepnęła.

Powiedziałeś coś niemal bezgłośnie; nie dosłyszała. Ale na pewno poszła potem do centrum i spytała się superkomputera, który nigdy nie uronił ni jednego twego oddechu. Superkomputer zaś odrzekł jej:

– Boję się.

## Teraz

I to strach wyrywa Puño z podsnu. Budzi się w nieznanym mu pokoju, nieprzystosowanym do jego potrzeb, co poznaje po jednostajnym ciemnym chłodzie otoczenia; budzi się zatem wbrew zamysłom swych nadzorców: nie powinien się obudzić. Coś się dzieje. Anielski słuch go nie zawodzi: krzyki na korytarzach, rozwrzeszczane głośniki, alarmy. To nie jest Szkoła. To na pewno już ta Stacja Tranzytowa, o której opowiadała mu Dziwka. Wstaje z łóżka, podchodzi do zamkniętych elektronicznie drzwi; porusza się tak ostrożnie, takimi delikatnymi stąpnięciami niestóp, w tak muzycznym balansie ohydneho ciała, jakby specjalnie dla niego tutejsza grawitacja zmniejszyła się do ułamka naturalnej – zmysł równowagi Puño nie znajduje się w uchu wewnętrznym, w błędniku: zaprojektowano i wszczepiono mu bardziej 'elastyczny' niebłędnik, gotów do natychmiastowego adaptowania się do nowych warunków, jakiegokolwiek by się one nie okazały. Stojąc przy drzwiach Puño słucha. I słyszy: – ... natychmiastowe stawienie się w Sali Tranzytowej numer jeden. Powtarzam... – Co im się stało? Poszaleli? – Ależ, kochanie, oni z definicji są szaleni. – Odzyskali przytomność? Kto pozwolił? Kto pozwolił? Co za burdel... – Z drogi, z drogi! – I co to w ogóle znaczy? Myślałem, że tuczniaki nie potrafią mówić, a co dopiero pisać! A matki przecież żaden z nich nie miał. Więc skąd to...? – A odwal się; co, może to moja wina? – Pewnie sprzęgli się z jakimś telepatą. Pamiętasz co nawyrabiał Dwunasty? – Wszystko przez tego nowego anastezjologa. Oni ciągiem powinni być w transie, nie mieliby szans połączyć się z myślakami i dostać do wspomnień w naszych głowach. – Uwaga...! – Puño stoi i słucha. Co tam się dzieje? Wyczuwa szybkie przemieszczanie się wielu ludzi za przegrodą metalowych drzwi. Niemal słyszy ich strach. Słyszy także zbliżającą się Dziwkę. Gdy drzwi się otwierają, on siedzi w bezruchu na swym łóżku. Wchodzi Dziwka wraz z mężczyzną o orientalnych rysach twarzy; oboje są w mundurach. Puño tego nie widzi; odmienności materiału ich ubrań domyśla się po wydawanych przezeń specyficznych szelestach podczas ich poruszeń (on, sam nagi pod swą nieskórą), azjatyckie pochodzenie przodków mężczyzny zgaduje po kształcie jego czaszki. – Obudził się. – Mężczyzna wzrusza ramionami: – Oni wszyscy się pobudzili. – Dziwka zwraca się bezpośrednio do Puño: – Małe opóźnienie. Nic poważnego. – Z korytarza dochodzi wtem trzask, rumor i kobiecy krzyk, zaprzeczając słowom Dziwki. Puño czyni dłonią znak pogardliwego szyderstwa. Dziwka we wnętrzu zamkniętych ust

wywija język ku podniebieniu, oznajmiając Puño swą dezaprobatę. Puño słyszy w jej głowie ciągły, wysoki dźwięk koncentracji i skupienia, ziemniakowaty mięsień jej serca kurczy się i rozkurcza szybciej niż zazwyczaj. – Skoro tak... Idziemy, Puño. – Mężczyzna łapie ją za ramię, najwyraźniej nie będąc przekonanym o słuszności tej decyzji. – Co...? – Przerzucimy go w dwójce. Okay? Idziemy, Puño. – Wychodzą na korytarz. Puño rozgląda się, ale nie widzi żadnych więcej szkieletów. Chaos został opanowany. Idą. Nie widzi również tych metrowej długości cięć w supertwardej materii ścian, układających się w gigantyczne litery, a te w słowo, które towarzyszy im, wciąż się powtarzając, gdy tak zagłębiają się w podziemny labirynt Stacji Tranzytowej. Ściany krzyczą: Mamo Mamo Mamo Mamo Mamo... Wciąż idą, kiedy te niemożliwe cięcia zaczynają nabiegać i broczyć jakąś cieczą, gęstą i czerwoną, która przecież nie może być krwią. Puño słyszy nieme lęk i dezorientację towarzyszących mu w tym ostatnim marszu kobiety i mężczyzny – lecz nie rozumie ich. Napisów też by nie zrozumiał. On dysponuje jedynie swoją własną pamięcią. Idą, idą i idą, a choć księżycowy niechód Puño, tak płynny, tak taneczny, zdaje się wymuszać nienaturalną powolność jego kroku, w istocie to on wyprzedza swych strażników i przewodników, nie na odwrót. Różne przedmioty dryfują wokół nich przez powietrze wbrew grawitacji; trzaskają, samoistnie otwierając się i zamykając, mijane drzwi; za zakrętem krzesła i stoliki wpełzają na sufit; wyrwany komuś z dłoni długopis wypisuje bezsensowne bazgroły na białym chodniku; kamera strażnicza jak oszalała kręci się na wysięgniku; łomoczą w poprzek korytarza niczyje kroki; kartki papieru z tablicy ogłoszeń ścierają się ze sobą ponad głowami idących, niczym rozwścieczone drapieżne ptaki; sama tablica drży w wibracji o wciąż wzrastającej częstotliwości. Idą. Puño już wie, przypomniał sobie. Oto jest gniew bogów.

## Bogowie

Rzekł nauczyciel:

– Rok świetlny to jest dziewięć i pół biliona kilometrów. Odległość do najbliższej obcej gwiazdy przemnoż sobie przez cztery koma trzy. A *Alfa Centauri* nie posiada przecież planet. Taka *Epsilon Eridani* jest jeszcze dwa i pół raza dalej. Więc sam widzisz, Puño. To mrzonki. Nawet gdybyśmy posiadali technologię umożliwiającą utrzymanie ciągu 1 g aż do osiągnięcia podświetlnej, a potem podczas deceleracji aż do całkowitego wyhamowania; nawet gdybyśmy dysponowali przepisem na takie cudowne paliwo, które swoją własną masą nie potęgowałoby automatycznie wielkości masy poruszanej, wymuszając zwiększanie ciągu, które wymaga więcej paliwa, i tak *ad infinitum*; nawet gdybyśmy potrafili czynić takie cuda – to co z czasem? Bo w sferze o promieniu dwudziestu pięciu lat świetlnych z całą pewnością nie ma odpowiednich planet. Więc co? Posyłać ludzi na zatracenie w einsteinowskich paradoksach? Doleciawszy do celu zastaną tam swe wnuki przybyłe na miejsce w oka mgnieniu dzięki wykorzystaniu teorii wyższych wymiarów, o których dziś wiemy tyle, że być może istnieją. Zrozum zatem, Puño: nikt nie wyłoży pieniędzy na podobnie niepewne przedsięwzięcie, a już na pewno nie rząd, na pewno nie NASA. Wolą sobie bazy na Marsie budować, koszt im się zwraca w prawach do transmisji telewizyjnej. I tak by cała sprawa cicho umarła, gdyby nie genetycy. Myślisz sobie: co, u licha, mają wspólnego genetycy z podróżami międzygwiazdowymi? A widzisz, mają, mają. Facet nazywał się De Door i nawet nie był profesorem. Miał fuchę w zakładzie psychiatrycznym... ha, słynna historia, najlepszy kawałek z 'Księgi wielkich odkryć'. No więc ten De Door zainteresował się pewnym piromanem, którego leczyli tam od paru miesięcy, a któremu wciąż wszystko dosłownie paliło się pod palcami. De Door zorientował się, że oto ma do czynienia z ewidentnym przypadkiem pirokinezy czyli wzniesienia ognia wyłącznie za pomocą siły woli. Genialność De Doora polega jednak na jego podejściu do fenomenu. Cóż on mianowicie zrobił? Pobrał od pirokinetyka próbkę tkanki – włosy po prostu mu wyrwał – po czym za

własne pieniądze przeprowadził w jakimś prywatnym instytucie analizę genomu delikwenta, z wydrukiem pobiegł do biblioteki, gdzie wypożyczył atlas ludzkiego DNA i zabrał się do porównań. Co, rzecz jasna, nic mu nie dało, bo jeden człowiek to za mało, by na jego podstawie wyprowadzać ogólne teorie. Potrzebował więcej nadzmysłowców do weryfikacji danych. I tu już nie mógł liczyć na przypadek. Zaczął łączyć ze szkicem projektu po przeróżnych fundacjach. Niestety, ów piroman ze szpitala dla obłąkańców zdążył się w międzyczasie samemu spalić doszczętnie i De Door nie miał już dowodu. Minął rok, drugi, trzeci. No i zgadnij, Puño, kto przyznał doktorkowi fundusze? Nieoceniony Pentagon. Zastanawiasz się zapewne dlaczego? Czyżby mu uwierzyli? I to akurat wojsko? Diabła tam! Przyszły po prostu raporty wywiadu o wzmożonym zainteresowaniu Chińczyków technikami pozazmysłowej inwigilacji nieprzyjaciela i jakiś generał dopisał na takim raporcie: sprawdzić, wyprzedzić – i oto zdumionego De Doora przywaliła lawina pieniędzy. Gość przynajmniej zdawał sobie sprawę jak kapryśne są bóstwa *U. S. Army* i jak przypadkowy jego tryumf, nie tracił więc czasu. Spora część przyznanych mu funduszy poszła na wykup reklam w gazetach i Internecie. Ktokolwiek udowodni posiadanie jakichkolwiek, chociażby najsłabszych, zdolności paranormalnych... i tak dalej, i tak dalej. Wysokie sumy obiecywał, zgłosiły się dziesiątki tysięcy. De Doorowi wystarczyłoby jedynie trzech niespokrewnieni osobnicy o podobnych talentach. Tymczasem najpierw wyłowił empatę, potem dalwidza, potem znów empatę... w każdym razie ciężko mu to szło. Ostatecznie jako pierwszą wyizolował sekwencję genów odpowiedzialną za umiejętność wykrywania świadomego kłamstwa w słowach rozmówcy czyli za szczątkową empatię właśnie. A że jeden z empatów dał się zwerbować wojsku do prowadzenia przesłuchań podejrzanych o szpiegostwo – De Door otrzymał kolejny finansowy zastrzyk. Rozbestwiony Pentagon zgłosił zapotrzebowanie na pełnych telepatów. De Doorowi, oczywista, wyszło co innego: telekinetycy. I to marni; przesunie taki długopis, przewróci kartkę książki, a już pot się z niego leje strumieniami i ledwie biedak dycha. Ale dla De Doora – w odróżnieniu od jego mocodawców – siła talentu nie miała znaczenia, on mierzył dalej. Szło mu o program długofalowy; i ostatecznie wywalczył nań forszę. Słyszałeś o Konwencji Madryckiej? No więc on ją złamał. Zresztą łamią ją wszyscy, ale on bodaj najjaskrawiej. Miał rządowe błogosławieństwo, więc się nie przejmował. Zaczął od zygot i zarodków; nastrzykiwał najadrza, stosował retrowirusy... Znał już geny odpowiedzialne i stosowne spotęgowanie danych zdolności nie stanowiło dlań problemu. Większym problemem było uniknięcie ubocznych efektów selektywnego manipulowania genami sprzężonymi; po prawdzie do dziś sobie z tym nie poradził. W każdym bądź razie pierwsi sztucznie wyhodowani telekinetycy, ci nazdmysłowi transgeniczni *homo sapiens*, urodzili się z łon mechanicznych macic jedenaście lat temu. To jeszcze była seria eksperymentalna, zresztą De Door wciąż doskonalili modele genomów poszczególnych nadzmysłowców, skatalogował już wszystkie ich typy... Ale nas, ciebie, Puño, interesują wyłącznie telekinetycy. Seria będąca obecnie w użyciu posiada już moc wystarczającą do sięgnięcia wgłąb jądra Galaktyki. Siły woli nie ogranicza prędkość światła. Odkryliśmy wiele ciekawych planet. Ale ciebie, Puño, interesuje wyłącznie Otchłań Czarnych Mgieł.

## Dlaczego

Rzekł nauczyciel (inny):

– To się nazywa idiom. To się zdarza wtedy, gdy żaden z nas nie jest telepatą. Ty jesteś człowiek, ja jestem człowiek. Ty jesteś mężczyzna, ja jestem mężczyzna. I nawet tym samym językiem się posługujemy. I nawet kultury, z których się wywodzimy, w jakiejś tam, dosyć sporej części, się pokrywają. Ale ani ja ciebie rozumiem, ani ty mnie. To znaczy, przy obopólnym wysiłku jesteście w stanie przekazać sobie niektóre myśli w ich najprostszej i najmniej osobistej słownej interpretacji. Ale

to wszystko. Do żadnego głębszego porozumienia nie jesteśmy zdolni. My – a co dopiero ludzie nie posługujący się wspólną mową, ludzie o wzajemnie sobie obcej pamięci doświadczeń, wyrosli na niekompatybilnych kulturach, posiadający odmienny wygląd. A co dopiero człowiek i nieczłowiek. Wówczas ten obszar psychicznej zbieżności zmniejsza się do mikroskopijnej szerokości pasa, jeśli chwytasz moją analogię, Puño. A chwytasz, co? Wyobraź sobie, że masz za zadanie porozumieć się z drzewem. Wiesz *a priori*, iż jest ono inteligentne. Musisz zainicjować dialog. Od czego zaczniesz...? To są tego typu szarady. Robimy co w naszej mocy, ale my jesteśmy sobą, a Oni sobą. Nie sposób wyjść poza własne myśli. To prawo. Spójrz na historię: jak radzili sobie ci konkwistadorzy, odkrywcy, podróżnicy? Albo zabierali ze sobą na kilka lat paru tubylców, żeby nauczyli się języka zdobywców, albo zostawiali na miejscu swoich poliglotów; ale najlepszym, choć najbardziej czasochłonnym sposobem, było po prostu wyhodowanie sobie tłumaczy: zakładali na brzegu osadę, zamieszkaną oczywiście wyłącznie przez mężczyzn, wracali po dwudziestu latach – i mieli oto tuzin mieszańców szwargoczących swobodnie w obu językach, należących do obu kultur i nie należących do żadnej, lojalnych wobec obu panów i wobec żadnego: idealny pomost cywilizacyjny, złoty środek, z którego jednak daleko do każdego z brzegów. Owi mieszańcy, właśnie dlatego, że nie przynależeli w pełni ani do jednej, ani do drugiej społeczności, byli je w stanie w swojej osobie w jakiś tam, niedoskonały zapewne, sposób zsyntetyzować. Uśrednienie, wypadkowa, nowa jakość. W naszym przypadku, w twoim przypadku, Puño, w przypadku Otchłani Czarnych Mgieł – rzecz jasna nie ma mowy o żadnym wzajemnym wymieszaniu gatunków. Niemniej pozostaje niepodważalnym faktem, że nie jesteśmy w stanie Ich zrozumieć, my, ludzie, obdarzeni takim, a nie innym ciałem, w taki, a nie inny sposób postrzegający świat, uwięzieni w tym swoim obrazie świata, w życiu przeżywanym na swój człowieczy sposób, w pamięci własnej i cywilizacyjnej – i tak dalej, i tak dalej. Czy ty mnie rozumiesz, Puño? Też nie w pełni. Jest również i takie prawo: każdy każdemu obcy. Mhm, odbiegłem od tematu... Widzisz, Puño, to ty będziesz naszym tłumaczem w Otchłani Czarnych Mgieł. Z pewnością pojmujesz powody, dla których konieczne były te operacje. Znasz pochodzenie Snów. Przedstaw to sobie jako skalę, której jeden koniec stanowi człowiek, a drugi Oni. My przesuwamy cię w kierunku tego drugiego końca, zarówno twoje ciało, jak i umysł, choć z ciałem zawsze łatwiej, w końcu to tylko organiczna maszyna. I w jego przypadku osiągnęliśmy już granicę, której nie możemy przekroczyć – której ty nie możesz przekroczyć. Szkoła uczyniła wszystko, co w jej mocy, byś mógł maksymalnie zbliżyć się do świata, w którym żyją Oni. Zrozumieć go. Starać się postrzegać go tak, jak Oni go postrzegają – teraz już posiadasz niektóre potrzebne do tego zmysły. Oczywiście nie wszystkie i oczywiście niedoskonałe – ponieważ mimo wszystko wciąż pozostajesz człowiekiem, i to nie tylko przez pamięć swego człowieczeństwa; w końcu gdybyśmy cię przesunęli do końca skali (choć to przecież niemożliwe), stałbyś się dla nas po prostu tak samo obcy jak Oni i też niczego nie byłbyś w stanie przetłumaczyć. Ty masz stać pomiędzy. Ponieważ jednak nie jesteś naturalnym mieszańcem, a jedynie sztucznie przystosowanym *homo sapiens*, zawsze ciężko będziesz w swych translacjach ku ludzkiemu punktowi widzenia, i my to akceptujemy, godzimy się z tym nieusuwalnym wypaczeniem. Zwłaszcza, że psychicznie nie przesunąłeś się po tej skali ani o dziesiątą część jej rozpiętości. Tu, w Szkole, możemy jedynie zainicjować ten proces, przygotować cię – stąd Sny – tudzież starać już na etapie selekcji wybrać osobę w sposób naturalny najbardziej predystynowaną do funkcji tłumacza na danym świecie – i stąd testy. Nie możemy natomiast nauczyć cię Ich języka, ponieważ sami go nie znamy; zresztą, pozostając w pełni ludźmi, i tak nie bylibyśmy w stanie go sobie przyswoić. To ty, Puño; ty, tam, w Otchłani Czarnych Mgieł, będziesz uczył się Ich mowy, jakkolwiek by się ona nie miała okazać; ty będziesz nam Ich tłumaczył, interpretował, wyjaśniał; uczył nas, ile możemy się nauczyć – my, którzy nie jesteśmy tobą. Wiesz: jesteś pierwszy. Wszyscy jesteście pierwsi, to pionierskie przedsięwzięcie, żadnych doświadczeń, żadnych błędów poprzedników, których moglibyście uniknąć – to wy, Puño, ty i twoi odpowiednicy na innych planetach (a niektórych

z nich być może poznałeś tu, w Szkole, jeszcze zanim stali się tym, czym są), wy będziecie popełniać te historyczne błędy. Nie mówię, że to będzie łatwe. W istocie będzie to bardzo trudne, graniczące z niemożliwością. Znajdziesz się na tej planecie sam, pozbawiony bezpośredniego wsparcia naszej orbitalnej placówki, która zresztą na razie nie jest niczym innym, jak kupą tymczasowo pospawanego złomu, w której poci się troje zapracowanych ludzi, w tym jeden szalony telepata, więc właściwie nie człowiek – znajdziesz się w Otchłani Czarnych Mgieł tak, jak teraz przede mną stoisz, Puño: zmieniliśmy twój organizm na tyle, byś mógł tam przeżyć dowolnie długo, o ile nie spotka cię coś, czego nie przewidzieliśmy, coś, o czym nie mamy pojęcia. Bo nie wiemy nawet co uczynią Oni, gdy zdadzą sobie sprawę z twojej obecności, a przecież nastąpić to powinno jak najszybciej, bo wszak wysłaliśmy cię tam właśnie po to, żebyś nawiązał z Nimi kontakt, rozmawiał. Zdaj sobie sprawę z Ich obcości: dla człowieczego telepaty Ich myśli po prostu nie istnieją. Toteż prócz funkcji tłumacza sprawować będziesz zarazem funkcję naszego ambasadora. Łączność z orbitą zapewni ci ten ich miejscowy tucznik, a przez niego zyskasz łączność z Ziemią. Ale nawet mimo obejścia w ten sposób ograniczenia szybkości komunikacji do szybkości światła – jest to nazbyt długi łańcuch, byś miał czekać z każdą decyzją na słowo Ziemi. Zaakceptuj tę myśl: będziesz sam na obcej planecie, pośród Obcych. A w tej chwili wiesz o Nich tyle, co my: prawie nic. Owe Sny, które wszczyliśmy ci w umysł, to jedyne Ich nagrania z automatycznych sond, jakimi dysponujemy i na podstawie analizy tych nagrań zbudowaliśmy twój profil percepcji, więc może pomyliliśmy się, nie jest to wykluczone. Ty będziesz naszą następną sondą. Niezależnie od sukcesu czy porażki tego przedsięwzięcia, miejsce w podręcznikach historii masz zapewnione. Jesteś, Puño, jednym z Kolumbów kosmosu. To nie *science fiction*; to rzeczywistość.

## *Science fiction*

- To jakaś pieprzona *science fiction*! – rzekł Gość.
- Już nie *fiction*, już nie *fiction* – odmruknął Wielki.
- Dajcie spokój... – szepnęła Dziwka.

W przeddzień zapowiedzianego wyjazdu do Stacji Tranzytowej, kiedy już nikt niczego cię nie uczył, a i ty sam nie miałeś już ochoty niczego nowego się dowiadywać, wbrew sobie podsłuchiwałeś rozmowę toczącą się w jednym z pokoi, dwa piętra wyżej. Mimo zamkniętych drzwi twojej celi, grubych ścian Szkoły i hermetycznego niemal jej podziału na odrębne sekcje – twój niemożliwy, anielski słuch prowadził cię nieomylnie po budynku korytarzami i schodami, rurami i szybami wentylacyjnymi, pośród burzowego hałasu wszechdźwięków, uderzających zewsząd głosów i odgłosów, pośród cudzych umysłów i cudzych ciał – do miejsca, gdzie trwała dyskusja, w której padło było twoje imię. Oni w to nie uwierzą, powiedzą, że zmyślasz – jak zawyrokowali po twym wyznaniu o muzyce ich myśli: że to niemożliwe, byś ją słyszał – więc nawet nie będziesz próbował ich przekonać. Wyposażenie cię w podobnie nieludzki słuch stanowiło integralną część ich planu, zatem uczynili to – a teraz nie wierzą w potęgę swego własnego daru. Nie wiedzą co urodzili, nie chcą wiedzieć. Ich sprawa. Ty słyszysz.

**Gość:** – Ja myślałem, że to placówka badawcza, że... no, nie wiem; w każdym bądź razie nie tego oczekiwałem.

**Wielki:** – Nie dostał pan papierów? Ma pan przecież dostęp. Trzeba było przeczytać, nie byłby pan zaskoczony.

**Gość:** – A co mi pan tu papierami...! Właśnie nie chciałem nic czytać, chciałem zobaczyć na własne oczy, po to mnie wysłał prezydent, w lekturę wojskowych okólników to ja się równie dobrze mogę zagłębiać w Waszyngtonie, zresztą i tak w nich tonę; a tutaj przyjechałem, żeby osobiście sprawdzić na co idą te miliardy.

**Wielki:** – No i sprawdził pan.

**Gość:** – Jezu Chryste... – (głęboki oddech) – Można tu palić?

**Wielki:** – A co pan ma? Nikotynowiec? Oj, nieładnie.

**Gość:** – Chciałbym wiedzieć kto w ogóle wpadł na ten genialny pomysł. Co? Jest ktoś taki, czy też już zdążył zgubić swoje nazwisko w tym magicznym kręgu obiegu pism w Pentagonie, mhm? Panie pułkowniku?

**Wielki:** – Projekt był autoryzowany przez wszystkich trzech kolejnych prezydentów, więc prosiłbym bez gróźb.

**Gość:** – A pan co taki hardy? Niby pułkownik, a stawia się jak, nie przymierzając, szef sztabu. Jakąż to niby władzę daje panu to stanowisko – dyrektor Szkoły – że pozwala pan sobie na podobne odzywki?

**Wielki:** – Spokojnie, spokojnie... Przecież pan wie: te wszystkie imponujące szarże – to tymczasowe. Dziewięćdziesiąt procent personelu Szkoły to żołnierze jedynie nominalni, proszę tu nie oczekiwać przepisowych salutów i entuzjastycznego trzaskania obcasami. Kwalifikacji, jakich wymagamy, raczej nie nabywa się w West Point.

**Gość:** – Im dłużej pana słucham, tym bardziej mętne to wszystko się staje, panie... pan tak naprawdę nie jest pułkownikiem, co?

**Wielki:** – Ynix. D'Afferto Ynix.

**Gość:** – A cóż to za nazwisko, u licha? Dlaczego nie nosicie plaketek identyfikacyjnych?

**Dziwka:** – Na początku były. Ale zarządzenie wymagało posługiwania się fałszywymi tożsamościami i zrobił się, za przeproszeniem, nielichy burdel.

**Gość:** – A pani...?

**Dziwka:** – Kapitan Felicita Alonso.

**Gość:** – I to jest prawdziwe nazwisko czy fałszywka?

**Dziwka:** – Prawdziwe. Tego zarządzenia nikt już nie przestrzega. Ludzie zapominali własnych imion, nie mają głowy do całej tej konspiracji.

**Gość:** – Gubię się. Po cholere takie zarządzenie?

**Wielki:** – Widzi pan, u nas pracuje, na etacie i na zlecenia, masa międzynarodowych sław. Wszyscy są na hipnotycznym bezczasy, więc nawet ich nie zaprzysięgamy, bo i tak nic nie zapamiętują i nie są w stanie żadnej tajemnicy zdradzić – ale w końcu może się zorientować ktoś z zewnątrz. Dublujemy im spędzany u nas czas. Ja, na przykład, od pięciu lat jestem zahibernowany w podziemiach *Luny IV*, w ramach eksperymentu *Eternity* – słyszał pan może? A wielu pracujących w Szkole etatowców to po prostu *zombies*. Z krótkookresowymi zlecaniobiorcami radzimy sobie inaczej: jakaś urojona konferencja naukowa na drugim końcu świata, tego typu rzeczy.

**Gość:** – Ale po co to wszystko...?

**Wielki:** – A jak pan myśli? Dla zachowania tajemnicy. Widział pan ten plakat w gabinecie? 'Wszechświat będzie nasz!' Szybciej, więcej, lepiej. Żeby USA pierwsze otworzyły ambasadę w Obłoku Magellana. Taka jest oficjalna egzegeza. Chwyta pan klimat?

**Gość:** – Pan ma jakieś obiekcje, zastrzeżenia...?

**Wielki:** – Ależ skąd! Ja jestem zaślepiony entuzjasta! To mnie się koniami powstrzymuje. Tu moje nazwisko pod każdym rozkazem. D'Afferto Ynix, D'Afferto Ynix. Ostatnio zasmakowałem w lekturze protokołów z Procesów Norymberskich. Uczmy się na cudzych błędach.

**Gość:** – To żart?

**Dziwka:** – Żart, żart.

**Gość:** – Specyficzne poczucie humoru...

**Wielki:** – Prawda? – (po chwili) – Da pan tego papierosa.

Milczenie.

**Gość:** – Ynix, Ynix... skąd pan właściwie pochodzi?

**Wielki:** – Wie pan, to śmieszne: ja akurat nie jestem obywatelem Stanów Zjednoczonych.

Bezpaństwowiec, mam niebieski paszport ONZ.

**Gość:** – Ach, pan jest jednym z tych...

**Wielki:** – Dokładnie. Z tych. Z pierwszego miotu.

**Gość:** – Nie będzie niedyskrecją pytanie o pana Atrybut?

**Wielki:** – A jak pan myśli? – (po chwili) – No dobrze. Ja jestem Szczęściarz.

**Gość:** – Mhm, ktoś logicznie rozumował: jak może się nie powieść przedsięwzięcie kierowane przez Szczęściarza?

**Wielki:** – Noo, bardzo prosto: jeśli dzięki temu Szczęściarz uratuje swą skórę.

**Dziwka:** – Chyba odeszliśmy cokolwiek od tematu.

**Wielki:** – A jaki ten temat?

**Gość:** – No więc, szczerze mówiąc, uważam to wszystko, co tutaj robicie, za głęboko niemoralne i wcale bym się nie zdziwił, panie Ynix, gdyby rzeczywiście skończyło się to Procesem Norymberskim. Bardzo przepraszam, ale w moich oczach jesteście po prostu zbrodniarzami.

**Wielki:** (ze śmiechem) – Ależ nie ma potrzeby przepraszać, drogi panie! Pan ma bardzo dobry wzrok.

**Gość:** – Prosiłbym jednak o odrobinę powagi.

**Wielki:** – Przepraszam.

**Gość:** – Przede wszystkim nie rozumiem powodów, dla których kolejni prezydenci mieliby brać na siebie odpowiedzialność za tę potworność. Pomijając wszystko inne, jest to gigantyczny błąd polityczny.

**Wielki:** – Pan faktycznie nie czytał niczego z materiałów, które panu dostarczyliśmy. Znowu mnie czeka pogadanka. Felicita, proszę cię...

**Dziwka:** – My podbijamy Galaktykę, panie sekretarzu.

**Gość:** – Ale co pani mi tu...! – (wysiąkuje nos) – Co to ma być, 'Star Trek'? Podbijamy Galaktykę, też coś! Będzie wiek jak NASA podbija Układ Słoneczny a jeszcze nie stanęła ludzka stopa na wszystkich jego planetach. Ale oni przynajmniej nie wykorzystują do tego celu dzieci, nie bawią się w Boga. Szkoła, akurat; *Auschwitz*, nie szkoła.

**Dziwka:** – Pan katolik?

**Gość:** – Ja człowiek. A pani?

**Dziwka:** – Jak to? Zbrodniarz, rzecz jasna.

**Wielki:** – Felicita, ja cię proszę.

**Dziwka:** – Na początek małe sprostowanie: ludzka stopa stanęła już na wszystkich planetach Układu Słonecznego, na których mogła stanąć, i na większości ich księżyców. Jednakże nie dzięki wysiłkom NASA, lecz naszym, dlatego też nie jest to fakt powszechnie znany. W istocie jest to ścisła tajemnica. A żeby być precyzyjniejszym: transport, podobnie jak łączność i wiele innych dziedzin, stanowi domenę projektu Łono, kierowanego osobiście przez De Doora. Widział się pan z profesorem, odwiedził Żłobek? Nie? No tak.

**Wielki:** – Pan nie raczył spojrzeć nawet na przygotowany przez nas harmonogram wizytacji.

**Gość:** – Spojrzałem, ale zignorowałem go. Woląłem z zaskoczenia.

**Wielki:** – Obustronnego, jak widać.

**Dziwka:** – Ale zasadę pan zna, prawda?

**Gość:** – Aż za dobrze. Czy ten cały De Door nie słyszał nigdy o Konwencji Madryckiej? Cholerny Mengele. To już setki tych... 'dzieci'... wyhodował.

**Wielki:** – Słownictwo było w aneksie. My nazywamy ich sztucznymi nadzmysłowcami. W slangu: tuczniaki. Niezbyt ładnie; nie wiem skąd się to wzięło.

**Gość:** – Tuczniaki. Boże drogi.

**Dziwka:** – Dzięki De Doorowi i projektowi Łono kosmos stoi przed nami otworem. A co do Konwencji Madryckiej – co pan powie na chińskie manipulacje mające na celu redukcję uwarunkowania seksualnego? U nich to idzie w miliony.

**Gość:** – Żdźbło w cudzym oku...

**Dziwka:** – Sekwoja raczej.

**Wielki:** (kaszle).

**Dziwka:** – Pana sekretarza, jak widzę, nie podnieca wizja podboju Wszechświata.

**Gość:** – Ja jestem stary, pani Alonso, mnie mało co podnieca. A już na pewno nie jestem do tego stopnia zboczony, żeby ekscytować się cudzym cierpieniem. Bo wszystkie te szumnie zwane projekty właśnie na ludzkim cierpieniu stoją, może nie? Co wy robicie z tymi dziećmi, co wy robicie... co robicie tym nieszczęsnym 'sztucznym nadzmysłowcom'...

**Dziwka:** – Powołujemy ich do życia. Cierpią? Może i cierpią, chociaż De Door pracuje nad uczynieniem ich organicznie szczęśliwymi; ale jeśli cierpią, jeśli w ogóle cokolwiek odczuwają – to dzięki komu?

**Gość:** – Wie pani, pani kapitan, kiedy matka prasuje swoje dziecko żelazkiem, przypala je papierosami, razi prądem, głodzi i katuje, to się jej dziecko odbiera, a ją samą do więzienia wsadza. Znane mi są takie prawa.

**Dziwka:** – A znany jest panu specyfik o nazwie *ServeViol*? Ilu milionom ludzi uratował życie?

**Gość:** – Pani twierdzi...

**Dziwka:** – Oficjalnie produkuje się go na orbicie. Tak naprawdę zbierany jest z czegoś w rodzaju trawy parę tysięcy lat świetlnych stąd. Zdziwiony? Mogę mnożyć przykłady, ale po co, nie w ilości rzecz, a pan ma to wszystko w papierach, może się zapoznać ze statystyką w dowolnej chwili. Na każde jedno dziecko czy tuczniaka, któremu, według pana, zadajemy cierpienie, przypadają miliony uratowanych od niechybnej śmierci. Pomimo wszystko to jest operacja wojskowa, panie sekretarzu. Kiedy stoi pan wraz ze swoim oddziałem w ariergardzie przegranej armii, a nieprzyjaciel naciera zamykając drogę odwrotu, to dla uratowania armii poświęca pan pułk, i potem dają panu medal, a poległym budują pomnik i kręcą film. Chwała im, krzyczą. Ale kto krzyczy? Żyjący.

**Gość:** – To jest ohydna logika. W co wy wierzycie; tu, w Szkole, i tam, w Łonie? W co?

**Wielki:** – W większe dobro, panie sekretarzu, w większe dobro. Pana wnuk jest chory na zespół Mowgsona, nie myślę się? Testujemy właśnie lek sprowadzony z drugiego ramienia. Być może będzie mógł uzdrowić George'a. Zabroni pan mu go podać?

**Gość:** – Kurwa mać, Ynix!!

**Dziwka:** – Przepraszam w jego imieniu.

Milczenie.

**Gość:** – Tylko że rozkręcając ten cały interes, stwarzając pierwszych 'sztucznych nadzmysłowców', nie wiedzieliście, nie mogliście wiedzieć o owych cudownych medykamentach...

**Wielki:** – Tak, ma pan rację, to jest efekt uboczny, przypadkowe odkrycia – chociaż ważne, przyzna pan. Prawdziwy cel stanowi, jak to określono, 'technologiczny megaskok'. Szukamy obcych cywilizacji, które moglibyśmy bezboleśnie oskubać z wiedzy. My, to znaczy USA. Zna pan historię wyścigu o bombę atomową? No więc w porównaniu z projektem Samorodek projekt Manhattan to jak wynalezienie agrafki przy odkryciu teorii względności. Prawdy naukowe, do których doszlibyśmy po tysiącach lat, maszyny jak magiczne artefakty, sama nauka jak magia, moce zaiste boskie; dla reszty świata będziemy jak Cortez dla Azteków: niewyobrażalne potęgi, niewyobrażalne bronie, niewyobrażalna władza... Cóż to by musiał być za prezydent, który by się nie podpisał pod czymś takim? Bądźmy poważni; z nas trojga to przecież pan jest politykiem.

**Gość:** – A Szkoła...

**Dziwka:** – To właśnie za pośrednictwem takich Puño będziemy ich 'skubać'.

**Gość:** – Dlaczego wybraliście do prezentacji właśnie jego? Pani jest jego oficerem prowadzącym, prawda?

**Dziwka:** – Nie tylko jego, ale on jest najbardziej 'miękki'. Jutro jedzie do Stacji Tranzytowej. Zobaczył pan produkt finalny, jeśli można się tak wyrazić.

**Gość:** – W tych murach najwyraźniej można wszystko, niech się pani wyraża. Produkt finalny. Sierota, powiedziała pani. Metys z Południowej Ameryki. Dlaczego właśnie on? Przecież i angielskiego musieliście go uczyć.

**Dziwka:** – To nie jest kwestia naszego wyboru. Dochodziliśmy do tego metodą prób i błędów. Te półdzikie dzieci slumsów posiadają po prostu największe szanse na skuteczne przystosowanie się, są najbardziej...

**Gość:** – ...'miękkie'. Co to znaczy?

**Dziwka:** – Też slang. 'Miękki' czyli potrafiący się psychicznie zaadaptować, zaadaptować swój umysł do dowolnych nowych warunków, zaakceptować je także podświadomie – stąd dzieci. Jak najmłodsze. Optymalny wiek, te dziesięć-dwanaście lat, stanowi wynik pogodzenia dwóch sprzecznych wymagań: maksymalnej chłonności i plastyczności umysłu oraz zdolności mentalnych, inteligencji. Nikt starszy nie ma już szans na tak instynktowne i pełne zrozumienie Obcych. Ostatecznie – że ucieknę się do trochę mylącej analogii – najłatwiej uczymy się języków nie kiedy indziej, jak w dzieciństwie.

**Gość:** – Ale... czy wy tego nie rozumiecie? To są dzieci.

**Dziwka:** – Dzieci. A cóż to znaczy? Ten okres życia człowieka – dzieciństwo – nabrał specjalnego, metafizycznego nieomal, znaczenia dopiero kilkaset lat temu. Wcześniej, przez wieki i tysiąclecia, dzieci to byli po prostu ludzie niewielkiego wzrostu, czasowo upośledzeni umysłowo, z racji swego wieku posiadający niewielkie doświadczenie, zatem bardziej bezbronni; tyle. Nie strzeżono ich przed światem, nie okłamywano ich, nie kreowano dla ich potrzeb odrębnej, fałszywej rzeczywistości dzieciństwa, oni żyli w tak samo okrutnej i bezwzględnej rzeczywistości dorosłych. Pan rozumuje podług dziewiętnastowiecznych kryteriów. Puño by pana nauczył. Dzieciństwo to stan sztuczny, wymuszony przez nienaturalnie luksusowe warunki zewnętrzne. Proszę się przejść po byle slumsach.

**Gość:** – Pani w to wierzy?

**Dziwka:** – Cóż, jest to jedno ze standardowych usprawiedliwień. Oni sami je nam podsunęli. Akceptujemy tę teorię, bo zgadza się z praktyką. I teraz już ograniczamy nasz nabór wyłącznie do osobników o pochodzeniu i życiorysie podobnych do puñowego.

**Gość:** – Lecz tak naprawdę chodzi po prostu o to, że takie dzieci łatwiej ulegają waszej woli, co?

**Dziwka:** – Bynajmniej. Oni właśnie, ci Puño, potrafią wbrew wszystkiemu zachować swoją własną wolę. Wolę przetrwania, przeżycia, pokonania nas. Chyba nawet dumę, o ile mogą to ocenić. Inni odmawiają współpracy, załamują się psychicznie, jest im wszystko jedno albo okazują się po prostu nazbyt dziecinni. Poza tym, to kwestia statystyki. Musimy mieć odpowiednio duży wybór, aby wyselekcjonować jednostki naprawdę uzdolnione. A nie możemy przecież porywać dzieci od matek; mimo wszystko prawo jest prawo, a my działamy w zgodzie z nim, w całkowitej zgodzie z obowiązującym prawem, panie sekretarzu. Toteż tacy Puño są dla nas wręcz idealni. Po prawdzie nie do końca rozumiemy co sprawia, iż właśnie oni... jakby to powiedzieć...

**Gość:** – Już lepiej niech pani nic nie mówi.

## Teraz

Teraz, teraz; dzisiaj, za chwilę, za moment. Stanie się. Puño stoi na środku Sali Tranzytowej numer dwa i zamkniętymi swymi nieoczami widzi chaos wokół siebie. Hermetyczna Komora Tranzytowa, w której go zamknięto, posiada ściany z pancernego tworzywa o przejrzystości szkła, ale dla niego nie ma to znaczenia, podobnie jak fakt, iż jej wnętrze oświetlone jest oślepiająco jasnym światłem a reszta Sali tonie w ciemności; kogoś innego faktycznie oślepiłoby ono, ale nie Puño, nie Puño. Widzi czerwone koła ciepłych reflektorów, lecz teraz więcej uwagi poświęca docierającym do jego nieoczu promieniom X. Poza Komorą wciąż panuje chaos, choć przynajmniej nie szaleją tam moce rozbudzonych tuczników-telekinetyków z Sali numer jeden. Tuczniaki z Sali numer dwa bezwładnie półożą w swych pajęczych, kołyskowatych fotelach, szerokim okręgiem otaczających Komorę; foteli jest dwanaście i tyleż nadzmysłowców w nich. Wszyscy śpią, chociaż żaden nie śni. Są jeszcze młodsi od Puño, to kilkuletnie dzieci; nagie, chude i kościste, o ciałach zdeformowanych niczym po jakiejś straszliwej chorobie kości, czaszkach bydłych, twarzach debilnych – ale to nie choroba, to te geny sprzężone z odpowiedzialnymi za ich potwornie wyolbrzymione zdolności parapsychologiczne. Któremuś ślina cieknie z rozwartych ust, pielęgniarka zaraz ją ściiera przygotowaną chusteczką. Ich mózgi są dogłębnie spenetrowane przez tysiące cienkich nóg owych szklano-plastikowo-metalowych robali przysiadłych na ich głowach, symbiotycznie z nimi zszczepionych. Wizjami miejsc, do których tuczniaki wysiłkiem swych umysłów przenoszą z Komory martwe ładunki oraz ludzi, kieruje superkomputer Stacji Tranzytowej, on też zawiaduje samą wolą nadzmysłowców, którzy wszak sami z siebie nie byliby w stanie zadziałać z precyzją czasu i miejsca konieczną dla bezbłędnej translokacji żywego organizmu na odległość tysięcy lat świetlnych, nie mówiąc już o uczynieniu tego razem, jednym nagłym aktem swej zjednoczonej woli. Komputer posiada zarejestrowane zestawy współrzędnych odpowiadające każdemu z punktów w przestrzeni, do którego kiedykolwiek dokonywał przerzutu; nieustannie aktualizuje te współrzędne, wprowadzając korekty wynikające ze wzajemnego przemieszczania się układów gwiazdnych w dwuramiennej spirali Mlecznej Drogi oraz z przemieszczania się obiektów w ramach tych układów po ich wyekstrapolowanych orbitach. Teraz na ekranach terminali kontrolerów widnieją koordynaty Otchłani Czarnych Mgieł. I koordynaty Puño. Puño stoi nieruchomo. Obserwuje bieganinę na zewnątrz Komory. Czy to normalne, czy też spowodowane wymknięciem się spod kontroli tamtych tuczników? Obserwuje Dziwkę, konwersującą z założonymi na piersiach rękoma i papierosem w ustach z jednym z kontrolerów, pochylonym nad klawiaturą i stukającym palcem w sensoryczny ekran. Obserwuje rozstawionych pod ścianami ludzi z sekcji bezpieczeństwa i konserwacji, gotowych do podjęcia natychmiastowego działania w wypadku jakichś nieprzewidywanych kłopotów, które jednakże przewidują tu wszyscy, nie jeden raz musiały się już im przydarzyć. Obserwuje, ponieważ jest obserwatorem. Boi się. Dziecinnieje w tej Komorze z tym większą szybkością, im mniej czasu mu pozostaje do momentu przerzutu. Na zewnątrz zaczynają błyskać światła ostrzegawcze, trwa odliczanie prowadzone spokojnie przez nieodróżnialny od ludzkiego głos komputera. Dziwka gasi papierosa, zapala drugiego. Ktoś głośno rozmawia przez telefon. Ktoś, kucając, grzebie we wnętrznościach jakiegoś urządzenia i ledwo się ogląda na Puño przez ramię, obelżywie obojętny na zbliżający się moment jego wniebowzięcia. Któryś z tuczników wpada w epileptyczną drgawicę, zbiegają się lekarze: strzykawki, komputery, krew. Ci pod ścianami przygotowują sprzęt. Technik wali wściekle w *enter* na swojej klawiaturze. Głos komputera kończy odliczanie. Puño krzyczy. Tucznikom występują spod tłusto

spoczonej skóry zwierzęce żyły. Dziwka odwraca wzrok. Puño krzyczy coraz głośniej i nie jest to już krzyk człowieka. Boże, gdybym tylko... Jednemu z tuczników bucha z nosa i uszu jasna krew. Puño pada na podłogę, łapie się za kolana, zwija w embrion. Krzyk urywa się. I kiedy Dziwka podnosi wzrok, Komora jest już pusta, nie ma już Puño.

*Jacek Dukaj*  
*grudzień 1994 – październik 1995*

Opublikowano na Stronicach Dukaja (<http://dukaj.pl>)